Nr. 6. Kraków, Czerwiec 1917. Rok XI.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
i ADMINISTRACYA:
Kraków,
ul. Franciszkańska L. 3.

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU VI-go:

Duch św. pochodzi od Ojca i Syna.

Sobór Konstantynopolitański mówi w „składzie wiary, że „Duch święty od Ojca pochodzi“ — ale nie mówi, że tylko od Ojca; słowa zaś: „i od Syna“ nie dodano, gdyż temu nikt nie przeczył. Jednak od roku 447 zaczęto nasamprzód w Hiszpanii, a następnie na całym Zachodzie do składu wiary świętej dodawać słowa „i od Syna“, dlatego, że taka jest wyraźna nauka Pisma świętego. Pan Jezus bowiem mówi: „A ja wam poszlę Pocieszyciela, Ducha prawdy, od Ojca“. Temu dodatkowi „i Syna“ nikt się nie sprzeciwiał, aż dopiero roku 866 Focyusz, a roku 1043 Cerularyusz, obaj Patryarchowie konstantynopolitańscy, a uniżeni słudzy cesarscy, w tych dwu słowach znaleźli powód do odszczepienia czyli oderwania Kościoła na Wschodzie, od Kościoła na Zachodzie.

Papież Urban II., jako Ojciec chrześcijaństwa, bolejąc mocno, iż sukienka Chrystusa całodziana, to jest Kościół, przez pychę Patryarchów została rozdarta, zebrał w roku 1090 sobór, aby jedność obu Kościołów przywrócić. Zawezwał też na sobór i św. Anzelma, Arcybiskupa z Kanterbury w Anglii. Skoro greccy biskupi wątpliwości swe co do pochodzenia Ducha św. przedłożyli, a następnie przez długie i niepotrzebne mowy całą rzecz zagmatwali, zawołał Papież donośnym głosem:

— Anzelmie, nasz Ojcze i mistrzu nasz, gdzie jesteś?

Powstał Anzelm, a Papież kazawszy mu usiąść koło siebie, rzekł:

— Użyj twej zdolności do obrony zagrożonej jedności Kościoła. Oto Bóg z umysłu podał ci taką sposobność.

Anzelm powstawszy, z taką jasnością i siłą przemówił za pochodzeniem Ducha świętego od Ojca i Syna, że Grecy zamilknąć musieli. Skoro tylko skończył swą mowę Anzelm, natychmiast wszyscy obecni rzucili klą-

twę na tego, któryby się odważył przeczyć, iż Duch św. i „od Syna“ pochodzi.

Nastąpiła powszechna radość, ale niestety zbyt krótko trwała, bo Grecy znowu od jedności z rzymskim Kościołem odstąpili. Dopiero na soborze we Florencyi 1439 roku, na którym i sam cesarz grecki był przytomny, przyjęli Grecy do składu wiary i te słowa: „który od Ojca i Syna pochodzi“. Sądzono, że pokój trwały nastąpi.

Tymczasem zaledwie greccy biskupi powrócili do swych stolic, powstał przeciw nim ogólny spisek duchowieństwa i ludu. Wielu z nich uląkłszy się, odpadło znowu od jedności — i słowy i pismem przeczyli temu, co we Florencyi uroczyście za prawdę uznali.

Od sześciuset lat, tj. od Focyusza aż do soboru Florenckiego, Grecy bluźnili Duchowi świętemu, używając oszczerstw, wiarołomstwa i buntów; dziś podpisywali jedność z rzymskim Kościołem, jutro ją zrywali — słowem, nie mieli nigdy szczerej chęci powrotu na łono swej matki, Kościoła rzymskiego.

Jakoż Pan Bóg, acz bardzo miłosierny i długo czekający, widząc upór i ciągłe opieranie się Duchowi świętemu, wydał na to wiarołomne cesarstwo greckie wyrok śmierci:

— Nie chcieliście służyć mi w radości i obfitości, zatem służyć będziecie moim i waszym wrogom; a służyć będze w głodzie, pragnieniu, nagości; zrzuciliście jarzmo lekkie, jakie was czyniło zacnymi, więc dźwigać będziecie jarzmo, które was zgniecie. Naród powstały z krańców ziemi, przybieży aż ku wam z szybkością orła, ścigającego swą zdobycz; naród okrutny, barbarzyński, bez litości, którego języka nie zrozumiecie, a który nie pojmie, co to współczucie i ludzkość.

I oto dziki zdobywca, Mahomet II., zbliża się do Konstantynopola z armią 300.000 Turków i oblega to miasto dumne, jak niegdyś Tytus Jerozolimę. Od pierwszych dni kwietnia 1453 r. wszystkie wsie okoliczne były zasłane żołdactwem, nacierającem na miasto od lądu, podczas gdy flota, złożona z 300 galer i 200 okrętów opasywała je od strony morza.

Miasto broni się rozpaczliwie; ale w końcu pada sam cesarz.

Lud traci odwagę, Turcy zdobywają miasto w sam dzień Trójcy Przenajświętszej 1453 roku. Rozhukane żołdactwo rabuje, niszczy, pali, niesłychanych dopuszcza się okrucieństw. Czterdzieści tysięcy ludzi wymordowano, sześćdziesiąt tysięcy zagnano w niewolę, reszta rozpierzchła się po świecie. — Sułtan zmuszony był gromadzić lud z rozmaitych prowincyi swego państwa, aby na nowo zaludnić nieszczęśliwy Konstantynopol. Największy kościół na Wschodzie, kościół poświęcony Mądrości Bożej, Sofii, zamieniony został na meczet turecki (bóżnicę), a na starożytnych jego wieżach miasto krzyża ujrzysz półksiężyc — godło Mahometa.

Jak Bóg ukarał zabójców Syna Swego zburzeniem Jerozolimy — tak upartych bluźnierców Ducha świętego zburzeniem Konstantynopola.

I cóż sądzisz, miły czytelniku, czy ten naród uznał swój błąd i nawrócił się do Boga? Gdzietam! Dotychczas opiera się łasce Ducha świętego, woli żyć w spodleniu i nędzy, jak wrócić na łono prawdziwego Kościoła.

Drugi Chrystus.

Miłości Najsłodszego Serca Jezusowego nie wystarczyło umrzeć za nas grzeszników na krzyżu, pozostał z nami po wszystkie wieki aż do skończenia świata pod postaciami chleba i wina. Prawda, że ta rzeczywista obecność Jego w Przenajśw. Sakramencie łączy się z ofiarą, tym najpiękniejszym owocem i najwyższym dowodem Jego ku nam miłości, ale Pan Jezus w Przenajśw. Sakramencie pozbywa się, choć jest nieśmiertelny, wszelkich oznak życia i przybiera postać rzeczy martwej, aby tak mógł być przez nas pożywany w Komunii św. Z Jego strony nie może być już większego wyniszczenia Siebie, większej i wspaniałomyślniejszej miłości. Serce jednak ludzkie zdaje się innej jeszcze domagać się obecności P. Jezusa wśród nas. Chcielibyśmy Go widzieć pośród nas, obcować z Nim, jak niegdyś Apostołowie, pragnęlibyśmy usłyszeć z ust Jego zbawienne rady i nauki, a przedewszystkiem owe słowa przebaczenia: „Ufaj synu, odpuszczają ci się grzechy twoje“ (Mat. 9, 2). Najsł. Serce Jezusa spełniło i to życzenie, albowiem jako Serce Boże przeniknęło ono nawskróś nasze najskrytsze pragnienia. Przywdział więc P. Jezus płaszcz nieśmiertelności także w postaci ludzkiej i zamieszkał w szczególniejszy sposób w niezliczonych ludziach wybranych, których spoił ze Sobą ścisłym i nierozerwalnym węzłem sakramentalnym i wyposażył Boską swą potęgą i powagą. Ustanowił mianowicie Sakrament Kapłaństwa, mający po całym obszarze ziemi i po wszystkie czasy tworzyć nieprzerwany łańcuch zastępców Jego na ziemi, tak, iżby Pan Jezus w osobach kapłanów kroczył widomie przez świat cały i przez wszystkie wieki, jak niegdyś chodził osobiście po Palestynie. Zaiste, przedziwny to pomysł Najmiłościwszego Serca Jezusowego! Właściwie w Nowym Zakonie jest tylko jeden kapłan, sam Pan Jezus, — jak jedna tylko istnieje ofiara, złożona raz na krzyżu przez Najwyższego Arcykapłana dla zbawienia całej ludzkości. Jestto wyraźna nauka św. Pawła w liście do żydów, ale ten sam Apostoł narodów powiada o Panu Jezusie, że trwając na wieki, ma kapłaństwo wiekuiste (Żyd. 7, 24), a wiemy o tem dobrze z nauki o Mszy św., gdyż w bezkrwawej ofierze na ołtarzach naszych nie kto inny jest głównym Ofiarnikiem, jeno sam Chrystus. Kapłan widomy, odprawiający Mszę św., jest tylko narzędziem Chrystusa i działa w Jego Imieniu i przybierając Jego właśnie postać, jak to jasno pokazuje się ze słów, któremi kapłan przemienia chleb w Ciało Przenajświętsze i wino w Przenajdroższą Krew P. Jezusa, mówiąc: „To jest Ciało moje“, — „Ten jest kielich Krwi mojej“. Stąd najwidoczniejszy dowód, że kapłan to drugi Chrystus, obdarzony mocą Bożą, bez której przemienienie chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusową byłoby niemożliwem. Tu mamy także klucz do odpowiedzi na pytanie: w jaki to sposób Pan Jezus jest kapłanem na wieki; jest nim mianowicie przez to, że kapłanom katolickim daje udział we własnem swem kapłaństwie, że daje im władze ponawiania ustawicznie tej ofiry, którą sam spełnił krwawym sposobem na Golgocie. Tak więc kapłan każdy jest nowym pośrednikiem między Bogiem a ludzkością. W jego rękach ofiaruje się Baranek Boży ku przebłaganiu sprawiedliwego gniewu Bożego, przez jego ręce zlewa się na świat cały Boże Błogosławieństwo i łaska, z jego rąk dostaje się nam pokarm dzieci Bożych, Komunia św. Kapłan przy ołtarzu — to jedna niejako osoba z Chrystusem; jego

czynności uznaje Bóg za czynności Jednorodzonego Syna Swojego i stąd to pochodzi, że słowa i czyny kapłana, choć to słowa i czyny ust i rąk nędznego śmiertelnika, mają tak cudowny skutek uświęcania ludzkości, stąd to właśnie wynika, że kapłani rozporządzają poniekąd wszechmocą Bożą.

2. Atoli, jak P. Jezus przez kapłanów daje nam własne swe Ciało i Krew w Przenajśw. Sakramencie, aby napełnić nas łaskami i uświęcić nas, tak też i przez kapłanów rządzi i kieruje wszystkimi, którzy należą do mistycznego, t. j. tajemniczego Jego ciała, jakiem jest Kościół św. Jak wszystkie członki jakiegoś państwa, mając jedną zwierzchność, jedno prawo, jedno wspólne zadanie, tworzą ciało społeczne, tak wszyscy wierni stanowią pod głową najwyższą, jaką jest Chrystus, jedną wielką rodzinę Bożą, ożywioną jednym duchem, łaską Chrystusową. Kapłani w zastępstwie Chrystusa mają być żyłami tego ciała, Kościoła św. Bo jak krew przez żyły obiega ciało nasze, dając mu utrzymanie przy siłach i wzrost, tak łaska Boża przez pośrednictwo kapłanów ma utrzymywać wszystkich członków Kościoła św. przy życiu Bożem, na chrzcie św. otrzymanem, i dawać im wzrost w cnocie chrześcijańskiej. Wobec tego zadania Chrystus obdarzył kapłanów najprzód władzą ponownego przywracania do życia tych, którzy przez grzech śmiertelny stali się obumarłymi członkami Ciała Chrystusowego, jakiem jest Kościół św. Kiedy kapłan, czyniąc znak krzyża św. wymawia słowa przebaczenia i rozgrzeszenia, wtedy, jak mówią Ojcowie Kościoła, sam Chrystus Pan wyciąga ku nam rękę pojednawczą, a Bóg Ojciec uznaje nas ponownie za dzieci swoje. Serce Jezusa znało potrzeby serc naszych, wiedziało, że niepokój trawi dusze nasze, póki nie mamy wyraźnego zapewnienia, że P. Bóg przyjmuje nasze łzy i żal serdeczny, że cofa swą karzącą rękę i zwraca ku nam ojcowskie swe oko. Zaprawdę, wielka w tem miłość P. Jezusa, że przemawia do nas ustami kapłanów, że przez nie napomina nas i grozi, zachęca i cieszy, prowadzi i rządzi nami, byśmy pewną drogą postępowali ku żywotowi wiecznemu. Jakże łatwo jest teraz się zbawić! Z łaski Najsł. Serca Jezusowego mamy przewodników do nieba, mamy nauczycieli prawd Bożych, tłómaczących nam słowa św. Ewangelii i troszczących się po ojcowsku o nasze dusze. Z kapłanami jest Chrystus na mocy święceń sakramentalnych, przez nich Sam Zbawiciel przemawia do serc naszych, przez nich nas szuka jako dobry Pasterz. Ich ręce poświęca, by rozsiewały wszędzie błogosławieństwo Boże, ich serca napełnia miłością i miłosierdziem, tudzież wzmacnia wewnętrznie, by, jak On, byli gotowi z narażeniem życia własnego sprowadzać napowrót zgubione owieczki do owczarni Chrystusowej.

Kapłan więc nie jest zwykłym jakimś urzędnikiem, jest on pośrednikiem między Bogiem a ludźmi, zastępcą Chrystusa, drugim Chrystusem. Ilekroć spełnia jakąś czynność kapłańską, a zwłaszcza ofiarę Mszy św., nie on sam, ale Chrystus wszystko czyni przez jego usta i ręce. A tych kapłanów jest tak wielka liczba, bo Serce Jezusa chce przez nich pouczać i uświęcać cały świat szeroki, — bo Serce Jezusa nie potrafi być skąpem dla tych, których Krwią Swoją odkupiło.

Nieustające zaiste należą się dzięki Najsłodszemu Sercu Jezusowemu za ten Sakrament, ale i szczere uszanowanie winniśmy kapłanom właśnie dla ich połączenia z Chrystusem. Módlmy się, aby Serce Zbawiciela naszego powołało jak najwięcej „mężów według Serca Bożego“ na kapłanów Swoich, albowiem „żniwo wielkie jest, a robotników mało“ (Mat. 9, 37).

(Z książeczki: Serce Jezusa źródło życia i światłości).

Cześć Serca Jezusowego w dawnej Polsce.

Nie masz chyba w Kościele katolickim takiego nabożeństwa, w któremby Polska nie uprzedziła innych narodów. Tak ma się sprawa z nabożeństwem do Serca Jezusowego. Aczkolwiek to nabożeństwo indziej w świecie szerzyć się poczęło dopiero w siedmnastym wieku, to u nas ślady czci serca Jezusa napotyka się już o sto lat wcześniej. Już w XVI wieku ks. Piotr Skarga T. J., w kazaniu na dzień św. Maryi Magdaleny mówił: ....„Nakoniec sam się nam Jezus daje i Serce Swoje w sakramencie Ciała i Krwi Swojej; a my Go nie miłujemy i kupić u nas za takie pożytki tej miłości nie może. O serce moje dzikie, czemu się tem do miłości nie wzbudzasz!“...

W „Żywocie Pana Jezusowym“, ks. Jana Wąchalskiego T. J., ogłoszonym w r. 1592, spotykamy się z prześliczną modlitwą do Serca Jezusowego. Oto niektóre myśli z tej modlitwy: „Co to za dziwna miłość, Panie miły Jezu! Chciałeś, aby włócznią przebito Twój bok i ta włócznia, aby przeszła aż do Serca i tam dobyła trochę onej krwi, która tam jeszcze zostawała! Chciałeś jeszcze, aby Twój bok aż do Serca był otworzony, abyś tą raną widomą dał nam znać o niewidomej miłości i żądzy Serca Twego około zbawienia naszego. O najsłodszy Jezu i coś mógł już więcej dla nas uczynić, czegobyś nie uczynił?... O rano bólu najświętszego, więcej uczyniona strzałą miłości, niżeli żelazem włóczni, pociągnij do Siebie duszę moją!“.

W 1685 r. wydał w Kaliszu O. S. Skibicki T. J. cztery pieśni ku czci N. Serca Jezusa. Równocześnie zaś ks. Tomasz Młodzianowski, T. J. głosi w swych kazaniach przecudne pochwały Serca Jezusowego. Woła np.: „Serce Pana Jezusowe, bądź sercem serc naszych, a każdy się z nas odmieni, każdy z grzesznego świętym zostanie“. W książce o obrzędach kościelnych poświęca znowu cały rozdział uczczeniu N. Serca Jezusa.

Były to zaczątki czci Najsł. Serca Jezusa w Polsce jeszcze przed objawieniem bł. Małgorzaty Alacoque, noszące na sobie cechę cichej prywatnej pobożności. Skoro zaś po owem, głośnem w całym chrześcijańskim świecie objawieniu, cześć Serca Jezusowego rozszerzyła się po wszystkich krajach i zatwierdzoną została przez Stolicę Apostolską, najgorliwszą Jego czcicielką między narodami była Polska. I tak jest po dziś dzień.

Co napisał Papież Pius X. o Psalmach?

(Konstytucya Apost. „Divino afflatu“)

Z Bożego natchnienia ułożone i w Piśmie św. zebrane Psalmy już od samych początków Kościoła nietylko przedziwnie wspomagały pobożność wiernych, którzy składali zawsze Bogu ofiarę chwały, to jest, owoc warg wyznawających Imię Jego, lecz także zwyczajem ze Starego Przymierza przyjętym w znacznej części weszły w skład Liturgii św. i modlitw Kościoła. Św. Bazyli zwie je „wrodzonym Kościoła głosem“, a poprzednik Nasz Urban VIII. psałterz i hymny głosem,

który brzmi bezustannie przed Tronem Boga i Baranka, ludzi zaś służbie Bożej oddanych uczy, jak mówi św. Atanazy, jakim sposobem i jakiemi słowy Boga zgodnie wysławiać należy. Pięknie też o tem mówi św. Augustyn: „Żeby Bóg należycie mógł być przez człowieka wielbionym, Bóg sam siebie uwielbił, że Bóg sam uwielbić się raczył, poznał człowieka, w jaki Go sposób wielbić należy“.

Nadto mają Psalmy dziwną moc pobudzającą duszę do umiłowania cnoty. Chociaż bowiem całe Pismo św. tak Starego, jak i Nowego Zakonu przez Boga natchnione i pożyteczne jest do nauki, jednak księga Psalmów jest jakoby rajem, zawierającym owoce wszystkich innych ksiąg, który rozbrzmiewa śpiewem i wciąż nowych dostarcza owoców. Tak mówi św. Atanazy i dodaje, że śpiewający Psalmy ma w nich jakby zwierciadło, w którem widzi i siebie samego i poruszenia własnej duszy i w tem usposobieniu je odmawia. Zaś Augustyn św. w Wyznaniach mówi: „Jak często płakałem podczas hymnów i śpiewów Twych, o Panie, silnie wzruszony głosem Twojego, tak słodko przemawiającego Kościoła. Głos ten wnikał do uszu moich, a z nim sączyła się prawda do serca mego i zapalało się uczucie pobożności i płynęły łzy i dobrze mi z niemi było“. Kogóż bowiem nie wzruszą ustawicznie powtarzane owe miejsca Psalmów, w których tak podniośle przedstawiony jest niezmierzony Majestat Boży, wszechmoc, niewypowiedziana sprawiedliwość, dobroć, miłosierdzie i inne sprawy chwały nieskończonej godne? Kogóż nie przepoją podobnemi uczuciami one dziękczynienia za otrzymane od Boga dobrodziejstwa, albo pokorne i pełne ufności w ich oczekiwaniu zanoszone prośby, albo owe wołania duszy za grzechy pokutującej? Kogóż nie napełni podziwem psalmista, kiedy głosi dobrodziejstwa łaskawości Bożej, rozlane na lud izraelski i cały rodzaj ludzki i kiedy opowiada prawdy mądrości niebieskiej? Kogóż wreszcie nie zapali miłością tak wyraźnie zarysowany obraz Chrystusa Zbawiciela, którego głos św. Augustyn słyszał we wszystkich Psalmach, to śpiewający, to płaczący, już to cieszący się nadzieją, a później przy spełnieniu się boleścią napełniony? Słusznie więc oddawna postanowiono dekretami Rzymskich Biskupów (Papieży), kanonami Soborów i konstytucyami zakonów, aby duchowni tak świeccy, jak i zakonni w ciągu tygodnia cały Psałterz śpiewali lub odmawiali.

Szanowna Redakcyo!

Gorąco trzeba dziękować Duchowi św. za to, że pobudził Najprzewielebniejszego Arcybiskupa Symona do ułożenia książeczki dla ludu z Psalmami. Dotychczasowe modlitewniki dla wiernych nie zawierały, albo przynajmniej mało zawierały Psalmów, a te, które lud śpiewa na Nieszporach, nie były tłomaczeniem autentycznem, zatwierdzonem przez Kościół. Zatem lud mało używa Psalmów w modlitwach, i dlatego może Pan Bóg nie wysłuchuje wnet błagań o pokój, i wolność Kościoła i Ojczyzny, że wierni nie używają modlitw, które sam Duch św. ułożył, a które były modlitwą Świętych, a zapewne i Samego Chrystusa Pana i Matki Jego. Świeccy odmawiając odtąd Psalmy, będą pomagać Duchowieństwu w modlitwach kanonicznych, a przez to będą one skuteczniejsze.

Padew, w maju 1917.

Z poważaniem
Prenumerator „Siewu polskiego“.

Prawo wojenne w Polsce.

Nasz wieszcz narodowy, A. Mickiewicz, w „Księgach narodu polskiego“, tak mówi: „Naród polski czcił Boga wiedząc, iż kto czci Boga, oddaje cześć wszystkiemu, co jest dobre. Polscy królowie i ludzie rycerscy nie napastowali nigdy żadnego narodu wiernego, ale bronili chrześcijaństwa od pogan i barbarzyńców, niosących niewolę. Nigdy króle i mężowie rycerscy nie zabierali ziem sąsiednich gwałtem, ale przyjmowali narody do braterstwa, wiążąc je z sobą dobrodziejstwem wiary i wolności“.

I rzeczywiście tak było. Świadczą o tem dzieje nasze. Zasada chrześcijańskiej sprawiedliwości była zawsze przewodnią myślą polskiej polityki. To też w dziejach polskiego narodu nie było nigdy ani jednej wojny zaborczej. O czystość tej świętej zasady pilnie dbało nasze wojenne prawo. Ponieważ najwięcej krzywd między narodami dzieje się zawsze przez wojnę, o której postanawiają zwykle władcy, wiedzeni ku temu często prostą pychą, zawiścią lub zachłannością na cudze dobro, przeto naród polski, od Kazimierza Wielkiego począwszy, prawo stanowienia o wojnie warował sobie, a nigdy nie powierzał go królom. Sejm nieszawski za czasów Zygmunta III. tak ustanowił: „Żadnemi wojski sąsiadom bella offensiwa inferre (wojen zaczepnych wszczynać) nie mamy sine consensu et scitu omnium ordinum (bez zgody i wiedzy wszystkich stanów) chybaby nas, strzeż Boże, pierwej jakiem zgwałceniem przymierza, a nagłym impetem sięgać chcieli“. I tak było aż do końca. Królowi wolno było wezwać wojska pod broń tylko w razie napadu wroga ku obronie granic Rzeczypospolitej. W każdym innym zaś wypadku uchwalać wojnę mógł jeno wolny sejm.

Dziś przemyśliwają ludy świata nad tem, jakby w przyszłości zapobiedz takiemu strasznemu rozlewowi krwi, jakiego świadkami obecnie jesteśmy. Wystarczyłoby jednak, by każdy naród przyjął u siebie nasze dawne prawo wojenne. Aczkolwiek bowiem niektórzy twierdzą, że z powodu bezwzględności tego prawa Polska niejednokrotnie nie wykorzystała należycie swych sił i często padała ofiarą podstępu innych, to jednak przy ogólnem zastosowaniu takich ustaw wszelaki podstęp byłby niemożliwy, a na ziemi panowałby ów wieczny pokój, do którego uciemiężone ludy wzdychają dziś daremnie.

Czy pokój bliski?

Im dłużej trwa wojna, tem większą niedolę sprowadza na całą ludzkość. Dlatego też od początku tego światowego kataklizmu dziejowego, nie brakło szlachetnych i szczerych usiłowań, ażeby kres mu co rychlej położyć.

Najpiękniej zajaśniała na samym początku inicyatywa pokojowa papieża Benedykta XV. — Ojciec chrześcijaństwa stanął z gałązką oliwną pomiędzy poważnionemi dziećmi jednej wielkiej rodziny chrześcijańskiej i starał się je przywieść do upamiętania i do zaprzestania strasznego rozlewu krwi. Niestety jego poważny i uroczysty głos, skierowany i do ludów i do ich władców, pozostał głosem wołającego na puszczy.— I później ponawiana jeszcze inicyatywa pokojowa Ojca św. nie wydała pożądanego rezultatu. — Szczęście, że przynajmniej dzięki zabiegom Ojca św. udało się zmniej-

szyć okrucieństwa wojny i złagodzić cierpienia inwalidów i jeńców wojennych.

W trzecim roku wojny zwrócił na siebie uwagę całego świata Wilson, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, swoją bądź co bądź energiczną i jasną i stanowczą inicyatywą pokojową. Trzeba przyznać, że zasady wyłuszczone przezeń w sławnem orędziu tchnęły świeżością idei i przepełnione były gorącem pragnieniem zapewnienia wszystkim ludom wolności, szczęścia i trwałego pokoju. Nic dziwnego, że potężny głos Wilsona rozległ się potężnem echem po całej kuli ziemskiej. Lecz taksamo i Wilson nietylko nie doczekał się upragnionego pokoju, ale co gorsze zaplątał Stany Zjednoczone w nową wojnę z Niemcami.

W miesiącach zimowych padła propozycya pokojowa ze strony mocarstw centralnych. Był to — rzecby można — krok urzędowy do pokoju, zaproszenie do rokowań pokojowych, wyciągnięcie ręki do zgody. Była to jakby błyskawica, która po raz pierwszy naprawdę rozświetliła straszne ciemności. Już prawie na pewne spodziewano się, że pokój rychło nadejdzie. Niestety i tym razem ludy zawiodły się w swoich tęsknych oczekiwaniach. Potężna koalicya nie chciała się wdawać w rokowania pokojowe z Niemcami i z ich sprzymierzeńcami.

Na wiosnę bieżącego roku płomień wojny na nowo się rozpalił. Wtem jakby grom z wysokiego nieba uderzył cały świat fakt, przez nikogo nieoczekiwany, mianowicie przyszła wiadomość o dokonanej rewolucyi rosyjskiej i o upadku caratu. Prądy rewolucyjne podniosły odrazu głowę w całej Europie. Socyaliści przystąpili odrazu do gorączkowej roboty.

Pierwsza rzuciła wielkie hasła socyalistyczna Rada robotników i żołnierzy w Piotrogrodzie. Mianowicie ogłosiła uroczyście, że dąży do pokoju bez zabierania cudzych krajów i bez odszkodowania wojennego. — W ślad za socyalistami z Piotrogrodu poszli niektórzy socyaliści niemieccy i ogłosili podobną zasadę.

Szczytem nadziei i marzeń socyalistów było ogłoszenie konferencyi socyalistycznej w stolicy neutralnej Szwecyi, w Sztokholmie. W konferencyi tej mieli wziąć udział przedstawiciele socyalistów wszystkich państw prowadzących wojnę i państw neutralnych. Miała się ona odbyć z końcem maja.

Był jakiś czas, że do tej konferencyi przywiązywano wielkie nadzieje. Sami socyaliści wbili się w niezmierną dumę i zaczęli się przechwalać, że „panowie zaczęli wojnę, a socyalistom każą teraz kończyć“. Spodziewali się bowiem, że na tej konferencyi powezmą pewne wytyczne zasady, narzucą je wszystkim rządom i gdyby rządy nie chciały ich przyjąć, natenczas terorem i postrachem zmuszą rządy do przyjęcia podyktowanych warunków. Nie da się zaprzeczyć, że niektóre rządy zaczęły już nawet wchodzić w ciche porozumienie ze socyalistami.

Trzeba przyznać, że myśl urządzenia międzynarodowej konferencyi piękna jest sama w sobie. Taka konferencya byłaby zwycięstwem pierwiastka wszechludzkiego w czasie obecnej okrutnej wojny. To byłoby zwycięstwem zasady miłości nad zasadą nienawiści. Tę to właśnie zasadę głosi od wieków Kościół katolicki. Niechby ona święciła tryumf w tym czasie, choćby pochodziła nawet od socyalizmu. Ani nie mielibyśmy zamiaru umniejszać zasług socyalistów, gdyby udało się im doprowadzić do skutku rozbrojenie walczących narodów.

Ale niestety już dzisiaj — chociaż piszemy te słowa jeszcze przed zebraniem się tej konferencyi — możemy śmiało powiedzieć, że zamiar socyalistów się nie powiódł.

Czerwona międzynarodówka oparta była na lichej podstawie, bo rozpadła się natychmiast z początkiem wojny. Hasła miłości ojczyzny okazały się silniejsze od haseł powszechnego braterstwa, głoszonego przez socyalistów. Socyaliści wszystkich krajów stanęli pod narodowymi sztandarami i wypełnili wiernie swój obowiązek względem ojczyzny.

Taksamo miłość ojczyzny okazuje się bardzo silną w trzecim roku wojny. Bo cóż widzimy. Na tej konferencyi zamierzają wziąć udział socyaliści niemieccy, austryaccy, neutralni, a może i rosyjscy; gdy tymczasem nie myślą na nią przybyć socyaliści angielscy, francuscy, a zapewne i włoscy. We Francyi i w Anglii z wielkiem wzburzeniem głosi się, że ci socyaliści, którzyby odważyli się wziąć udział w konferencyi w Sztokholmie będą uważani za zdrajców ojczyzny. — Co więcej, socyaliści Anglii i Francyi głoszą, że oni zwołają swoją socyalistyczną konferencyę, z której wykluczeni będą za karę socyaliści Austryi i Niemiec, że popierają rzekomo militaryzm tych państw.

Jak więc głośno i szumnie zapowiadana konferencya socyalistów w Sztokholmie budziła z początku dość żywe zainteresowanie, tak teraz — już po tem co się dotychczas pokazało — przestała już wzbudzać zaciekawienie. Mało już świat interesuje się tem, czy jakaś część socyalistów zjedzie się w Sztokholmie, czy nie, a tembardziej tem, co oni tam będą mówić, bo teraz już całkiem na pewne wiadomo, że uchwały tam powzięte w niczem nie wpłyną na dalsze losy wojny, a tembardziej nie przyspieszą zawarcia pokoju.

I inaczej być nie mogło. Nienawiść, na której opiera socyalizm swe istnienie, nie może zbudować między narodami pokoju, który powinien być oparty na miłości i zgodzie.

Ludy wojujące muszą zatem wyczekiwać z innej strony zjawienia się jutrzenki pokoju.

Stanowisko małżonki w Polsce.

Gdyby małżeństwo było jedyną i rozstrzygającą cechą chrześcijańskiego urobienia danego społeczeństwa, to Polska, pośród całej rzeszy narodów zajęćby musiała pierwsze miejsce. Stanowisko żony bowiem w Polsce było zawsze w całem tego słowa znaczeniu dostojne. „Żona klejnot drogi“, „żona ozdoba mężowi“, „żona głowy korona“ — oto jak mówiono o niej od najdawniejszych czasów; a nie były to jakieś czcze słowa; o szczerej ich prawdzie świadczą żywe czyny; których mnóstwo zapisały dzieje. Żadna atoli z tych licznych nazw nie mówi tyle, co ta, najczęściej się powtarzająca: „żona-przyjaciel“. W całym świecie nie napotkasz tego, aby mąż żonę swoją „przyjacielem“ nazywał i za najlepszego przyjaciela ją uważał. Jest to zwyczaj osobliwie polski, który tak powszechnie w narodzie się przyjął, że nawet wielcy panowie, którzy od dawna radzi posługiwali się obcym językiem i od staropolskiego słownictwa i obyczaju wcześnie odbieżyli, tego wyrażenia „żona-przyjaciel“ ze szczególnem umiłowaniem zawsze używają.

Książę Janusz Radziwiłł, prosząc króla Władysława IV o pomoc w zabiegach do ręki panny Potockiej,

zaklina go, aby mu tej wielkiej przysługi nie odmówił, bo tu „nie o urząd i nie o godność chodzi, ale o „wiernego przyjaciela“.

Książę Franciszek Sapieha, wielki koniuszy litewski, w testamencie swoim z r. 1683 żegna „najlepszego po Panu Bogu przyjaciela, małżonkę, Annę z Lubomirskich“. Jerzy Ossoliński, starając się o Daniłowiczównę, według słów własnych „szuka przyjaciela, jako najdroższego skarbu i jako największego po Bogu błogosławieństwa“. I wiele, wiele takich przykładów przytoczyćby można, a wszędzie jedno uważaćby przyszło, że ta nazwa żony „przyjacielem“ zamknęła w sobie uznanie tego, co rzeczywistą wartość kobiety zawsze stanowi.

Polak, uważający żonę za przyjaciela, nie szukał w niej znikomych warunków chwilowego upodobania: młodości i piękności, ale trwałych przymiotów duszy i serca, na których opiera się przyjaźń: miłości, cnoty i wierności. To też błogosławione było zawsze pożycie tych dwojga przyjaciół, męża i żony i nic ich pokłócić nie zdołało. Pomna bowiem zawsze swej dostojnej godności polska niewiasta, musiała ją zachować, a w razie napaści mężnie w jej obronie stanąć.

Krystyna, córka Jerzego Lubomirskiego, marszałka koronnego i hetmana polnego, idąc za wolą rodziców, wyszła za Feliksa Potockiego, hetmana koronnego i żyła z nim w najściślejszej przyjaźni, opartej na nieposzlakowanej wierze i prawdziwej miłości. Kiedy nadzwyczajną jej urodą olśnieni panowie do rozmowy i towarzystwa z nią radzi lgnęli, a Krystyna jakąkolwiek płochość w kim spostrzegła, zaraz od jego towarzystwa odbiegała. Zdarzyło się raz, że jeden z dawnych jej wielbicieli, który się daremnie o rękę pięknej marszałkówny był ubiegał, począł raz wypowiadać przed nią swą niewygasłą miłość i gotowość usunięcia ze świata jej męża. Gdy surowo za to zgromiony, jeszcze coś nieprzyzwoitego powiedział, wówczas Krystyna taki mu policzek wycięła, że zamilkł i ze sromotą odszedł.

Oto żywy przykład jednej z bardzo wielu polskich niewiast, które dbając o należną im cześć, umiały jej przed natrętami bronić. Nie dziw przeto, że polska niewiasta świętością była dla męża i zaiste „błogosławioną była między niewiastami“ innych narodów. I dobrze było w Polsce dopóty, dopóki małżonka swe dostojne stanowisko zachować umiała. Skoro atoli zachodnia rozpusta zepchnęła ją z owego wyniesienia i owe „przyjacielskie“ węzły z mężem zerwała, poczęło się źle dziać w całym narodzie. Wróć przeto polska niewiasto na dawne stanowisko cnoty, a rodzina otoczy cię czcią, narodowi zaś zgotujesz lepszą dolę!

Łazarz, przyjaciel Zbawiciela.

I. Choroba Łazarza.

I był niektóry chory Łazarz z Betanii, z miasteczka Maryi i Marty, siostry jej.

A Marya była, która pomazała Pana maścią, i utarła nogi Jego włosami swojemi: której brat Łazarz chorował.

Posłały tedy siostry jego do Niego, mówiąc:

— „Panie, oto którego miłujesz, choruje!“

A Jezus usłyszawszy, rzekł im:

— „Choroba ta nie jest na śmierć, ale dla chwały Bożej, aby był uwielbiony Syn Boży przez nią“.

A Jezus miłował Martę, i siostrę jej Maryę, i Łazarza.

Gdy tedy usłyszał, że choruje: tedy przed się przemieszkał na onemże miejscu przez dwa dni.

Potem zasię rzekł uczniom swym:

— „Idźmy zaś do Żydowskiej ziemi“.

Rzekli mu uczniowie: „Rabbi, teraz chcieli Cię Żydowie ukamienować, a zasię tam idziesz?“.

Odpowiedział Jezus: „Aza nie dwanaście jest godzin dnia. Jeśli kto chodzi we dnie, nie obrazi się, bo widzi światło tego świata. Ale jeśli chodzi w nocy, obrazi się: bo w nim światła niemasz“.

II. Śmierć Łazarza.

To mówił, a potem rzekł im:

Łazarz, przyjaciel nasz śpi: ale idę, abym go ze snu obudził“.

Rzekli tedy uczniowie Jego: „Panie, jeśli śpi, będzie zdrów“.

A Jezus mówił o śmierci jego, lecz oni mniemali, iż o zaśnięciu snem powiedział. Na ten czas tedy Jezus powiedział im jawnie:

— „Łazarz umarł! i rad jestem dla was abyście wierzyli, iżem tam nie był. Ale idźmy do niego“.

Rzekł tedy Tomasz, który się wykłada Dydymus: do współuczniów:

— „Pójdźmy i my, abyśmy z nim pomarli!“

Przyszedł tedy Jezus i znalazł go już cztery dni w grobie mającego.

A Betania była blizko Jeruzalem, jakoby na piętnaście stajów. A przyszło było wielu Żydów do Marty i Maryi, aby je cieszyli po bracie ich.

III. Jezus pociesza siostry Łazarza.

Rzekła tedy Marta do Jezusa: „Panie, byś tu był, nie umarłby był brat mój. Lecz i teraz wiem, że o cokolwiek będziesz Boga prosił, da ci Bóg“.

Powiedział jej Jezus:

— „Zmartwychwstanie brat twój“.

Rzekła Mu Marta: „Wiem, iż zmartwychwstanie w zmartwychwstaniu, w ostatni dzień“.

Rzekł jej Jezus: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot: kto we Mnie wierzy, choćby umarł, żyw będzie. A wszelki, który żyje, a wierzy we Mnie, nie umrze na wieki. Wierzysz Temu?“

Powiedziała Mu: „Iście Panie, jam uwierzyła, żeś Ty jest Chrystus, Syn Boży, któryś na ten świat przyszedł!“

A to rzekłszy, szła i milczkiem zawołała Maryi, siostry swojej, mówiąc:

— „Nauczyciel przyszedł i woła cię“.

Ona, skoro usłyszała, wnet wstała i przyszła do Niego. Bo Jezus nie przyszedł był do miasteczka: ale był jeszcze na onem miejscu, gdzie Mu zaszła była Marta. Żydowie tedy, którzy z nią byli w domu, a cieszyli ją, ujrzawszy Maryę, iż prędko wstała i wybieżała, szli za nią, mówiąc:

— „Iż idzie do grobu, aby tam płakała“.

Marya tedy, gdy przyszła, kędy był Jezus, ujrzawszy Go, przypadła do nóg Jego i rzekła Mu:

— „Panie, byś tu był, nie umarłby był brat mój!“

Jezus tedy, gdy ją ujrzał płaczącą i Żydów, którzy z nią przyszli, płaczących: rozrzewnił się w duchu i wzruszył sam siebie.

I rzekł: „Gdzieżeście go położyli?“

Powiedzieli Mu: „Panie, pójdź, a oglądaj?“

I zapłakał Jezus.

Mówili tedy Żydowie: „Oto jako go miłował!“

A niektórzy z nich mówili: „Nie mógł ten, który otworzył oczy ślepo narodzonego, uczynić, żeby był ten nie umarł?“

IV. Zmartwychwstanie Łazarza.

Jezus tedy, rozrzewniwszy się zaś sam w sobie, przyszedł do grobu. A była jaskinia: a kamień na niej był położony.

Rzekł Jezus: „Odejmijcie kamień!“

Rzekła Mu Marta, siostra tego, który był umarł: — „Panie, już cuchnie, bo mu już czwarty dzień“.

Powiedział jej Jezus: „Zaż ci nie rzekłem, iż jeśli uwierzysz, oglądasz chwałę Bożą?“

Odjęli tedy kamień.

A Jezus, podniósłszy oczy swe w górę, rzekł: — „Ojcze, dziękuję Tobie, żeś Mię wysłuchał. A Jam wiedział, że Mnie zawżdy wysłuchiwasz, alem rzekł dla ludu, który w około stoi, aby wierzyli, iżeś Ty mnie posłał“.

To rzekłszy, zawołał głosem wielkim:

— Łazarzu, wynijdź z grobu!“

I natychmiast wyszedł, który był umarły, mając ręce i nogi związane chustkami: a twarz jego była chustką obwiązana.

Rzekł im Jezus: „Rozwiążcie go i puście, aby szedł“. (Cztery Ewangelie w jedno złączone).

Wieczna adoracya.

Pierwszy klasztor ku wiecznej i uroczystej adoracyi Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie założyła we Francyi Anna, księżniczka austryacka.

Powód do tego był następujący:

Strasznie ucierpiała Francya w końcu XVI. i z początkiem XVII. stulecia z powodu wojen religijnych. Wprawdzie nastąpił jakitaki spokój za Ludwika XIII, ale skoro ten r. 1643 oczy zamknął, powstała nowa wojna religijna między kalwinistami i katolikami, która całemu państwu upadkiem groziła.

Wtedy właśnie rządziła krajem tym Anna, księżniczka austryacka w imieniu swego małoletniego syna Ludwika XIV. Cały Paryż krwią zbroczony, najzacniejsze rody ze sobą w nienawiści i wojnie, całe prowincye przez kalwińskich Hugonotów zniszczone, wszelkie węzły obywatelskie porwane. Wśród tego morza wzburzonego stała Anna ze swymi doradcami nie wiedząc jak złemu zapobiedz i dobrze rozumiejąc, że tu ludzka mądrość nie wystarczy.

W tej najwyższej potrzebie udała się Anna do kierownika wszystkich losów ludzkich, do Boga, ślubując, że uczyni wszystko co Bóg jej spowiednikowi objawi. Jakoż poleciła temuż, aby się udał na modlitwę i wobec Boga dobrze się zastanowił, coby mogło Jego gniew rozbroić, za grzechy narodu zadość uczynić i miłosierdzie Boskie na kraj i na stolicę sprowadzić.

Po kilkudniowej modlitwie przyszła spowiednikowi myśl, która go nie opuszczała ani na chwilę, iż trzeba założyć stowarzyszenie dziewic zakonnych, aby dzień i noc bez przerwy przez cały rok Najświętszemu Sakramentowi w duchu zadośćuczynienia i przebłagania za wszystkie temuż Najśw. Sakramentowi wyrządzone zniewagi i zelżywości cześć oddawały: aby królowa ten ślub dla ocalenia Francyi uczyniła i adoracyę Najświętszego Sakramentu z powrozem na szyi i gorejącą świecą w ręku sama osobiście rozpoczęła.

Pobożna królowa z całego serca ślub ten uczyniła i prosiła spowiednika o pozwolenie, aby ten ślub w jak najkrótszym czasie mógł być wykonany.

Urządzono gmach na sposób klasztoru, zbudowano i poświęcono kaplicę i oddano pod zarząd Mechtyldy od Najśw. Sakramentu, zakonnicy św. Benedykta, która z pięcioma siostrami tegoż zakonu tam się przeniosła.

Dnia oznaczonego t. j. we Czwartek 12 Marca 1659 roku z wielką uroczystością odbyła się adoracya, którą wedle obietnicy królowa Anna z całym swoim dworem klęcząc z powrozem na szyi i z jarzącą świecą w ręku rozpoczęła.

I dziwna rzecz! Prawie w tej samej chwili, kiedy wieczna adoracya się rozpoczęła, ustały wszelkie rozruchy i niepokoje. Jeszcze w tym samym miesiącu poddał się zbuntowany Paryż, a za jego przykładem poszły inne części królestwa, tak, iż już w ciągu następnego roku młody król Ludwik XIV. tak spokojnie i wszechwładnie nad królestwem panował, jak gdyby spokój nigdy przedtem nie był zakłócony.

O wychowaniu.

2. Dobre wychowanie — wielka sztuka.

Przy gospodarstwie chowają się w stajni cielęta, w chlewie prosiaki, a pod piecem kurczęta. Gospodyni to opatruje, karmi, czyści, wypędza w pole lub zamyka w oborze według potrzeby, a cieszy się, gdy ta gawiedź jest zdrowa, rośnie dobrze i wygląda pięknie.

W izbie obok matki chowają się dzieci. Matka je karmi, dogląda, myje, uczy chodzić i cieszy się, gdy dzieci są zdrowe, rosną i dobrze wyglądają.

Jakaż różnica między tem, co się chowa w stajni, a tem co w izbie? Często matka żadnej różnicy nie robi między wychowaniem gadziny a dzieci. Gdy dzieci wyrosną jest zadowolona, że je odchowała i z dumą na swą pochwałę powiada: „Wychowałam sześcioro, siedmioro dzieci“.

A jednak jakże wielka różnica jest między wychowaniem cielęcia, a wychowaniem dziecka.

Przy wychowaniu kurczęcia, źrebca, cielęcia chodzi tylko o to, by wyrosło i było zdrowe.

Przy wychowaniu dziecka chodzi nie tylko o to, by wyrosło i było zdrowe, ale chodzi o to także, aby było Bogu miłe i ludziom pożyteczne.

Cielę wystarczy chować, dziecko trzeba wychować. Krowa w stajni może być uchowana, ale człowiek nie może być tylko uchowany, on powinien być dobrze wychowany.

Dlaczego? — Dlatego, że człowiek ma duszę nieśmiertelną, a zwierzę tej duszy nie ma. Gdy się tedy wychowa dziecko, to pamiętać należy nie tylko o jego ciele i jego potrzebach doczesnych, ale należy też troszczyć się o jego duszę i jego potrzeby wieczne. Wychowanie dziecka jest rzeczą stokroć trudniejszą niż chowanie gadziny. To chyba każdy rozumie. Można powiedzieć bez przesady, że niema większej sztuki nad dobre wychowanie dzieci.

Snycerz wyrzeźbi z kawałka drzewa aniołka albo czarta według swego upodobania, bo drzewo jest martwe i można z niem robić, co kto chce. Ale dziecko nie jest martwe tylko żywe, a dusza jego jest przepaścista i nieuchwytna, prowadzić je zatem tak, by wyrosło na człowieka prawego przed Bogiem i ludźmi, to zadanie wielkie i trudne, a odpowiedzialności pełne. Do tego

potrzeba koniecznie łaski Bożej — tę też P. Bóg daje rodzicom chrześcijańskim w Sakramencie małżeństwa — oby tylko wszyscy należycie z nią współpracowali!

Ferdynand II.

Ten cesarz nietylko w samą uroczystość Bożego Ciała, ale nawet przez całą oktawę bywał obecny na procesyi. Mając naokoło skroni wieniec z róż, a w ręku trzymając świecę gorejącą, rok rocznie towarzyszył Panu swemu w Jego tryumfalnych pochodach.

Raz się zdarzyło, że mu z powodu ciężkiej świecy ręka spuchła. Gdy pomimo to na drugi dzień chciał być na procesyi, choć rękę nosił na temblaku, rzekł mu jeden z panów:

— Wasza cesarska mość musi dzisiaj iść bez świecy.

Lecz cesarz mu odrzekł:

— Wszak mam jeszcze drugą rękę, którą Bogu służyć mogę.

Pięćdziesiąt razy w roku przystępował ten cesarz do Stołu Pańskiego. W przeddzień Komunii świętej ostro pościł, choć nie był dzień postny. Gdy zaś przyjął Komunię św., tak gorąco i pobożnie się modlił, tak słodkie łzy wylewał, że się zdało, jakoby dusza jego Boską miłością zapalona, chciała porzucić to ciało, by się połączyć ze swym Zbawicielem.

Gdy spotkał kapłana niosącego Najśw. Sakrament do chorego, szedł za przykładem Rudolfa I.; wysiadał natychmiast z powozu, klękał nawet na błotnistej drodze, oddawał cześć Panu Jezusowi z największem uszanowaniem i postępował pieszo za kapłanem.

Gdy razu pewnego w ten sposób w Gracu spotkał kapłana, nietylko szedł za nim aż na przedmieście dokąd kapłan podążał, ale dał też hojne wsparcie owemu ubogiemu człowiekowi, który Najśw. Sakrament w swej chorobie przyjmował.

Wśród tak strasznych zaburzeń w cesarstwie i pośród ciężkich wojen, które tyle klęsk na cesarstwo sprowadziły, miał ten święty zwyczaj, że dla ubłagania Boskiej pomocy w całem państwie publiczne nabożeństwo do Najśw. Sakramentu polecał. Sam też kilka godzin z rzędu w najgłębszej pokorze na kolanach klęczał przed Najśw. Sakramentem.

Co rok był na 40-godzinnem nabożeństwie, które się w ostatki po kościołach Towarzystwa Jezusowego odprawiało i tem goręcej Boga utajonego czcił i uwielbiał, im bardziej Go inni w tym samym czasie grzechami swymi obrażają.

Biskup Jan Prandota

(† r. 1266).

Czasy największego zamętu przedstawiała nasza Polska podczas swego rozdrobnienia na księstwa po śmierci Bolesława Krzywoustego.

Książęta dopuszczali się różnego rodzaju nadużyć biskupi gromili ich klątwą kościelną i po gwałtach i bezprawiach następowała tak ostra pokuta, o jakiej my już ledwie wyobrażenie mieć możemy. Skruszony grzesznik łzy ronił, tarzał w prochu dumne czoło, gotów za chwilę do dawnych wrócić przewinień.

Wśród tych wzburzonych żywiołów społecznych, jakże wspaniale odbijają zacne i szlachetne wielkich mężów postacie?

Jednym z takich jest biskup krakowski Prandota z Białaczowa, syn Radosława Prandoty-Odrowąża, a krewny świętego Jacka, z którym go serdeczna łączyła przyjaźń. — Poświęciwszy się stanowi duchownemu, stał się wkrótce głośnym przez pełne namaszczenia opowiadanie słowa Bożego. Służył Bogu nie oglądając się ani na to, co ludzie powiedzą, ani na pożytek osobisty. Był tak samo, jak niegdyś Wincenty Kadłubek i Czesław Odrowąż, kanonikiem kollegiaty sandomirskiej, a po śmierci biskupa Wisława, obrany został r. 1242 jego następcą z taką radością i jednomyślnością duchowieństwa i ludu całego, że upatrywano w tem wyraźną łaskę Ducha świętego.

Po objęciu rządów, przemyśliwał często o świątobliwem życiu poprzednika swego i męczennika, św. Stanisława Szczepanowskiego, pragnąc doprowadzić do skutku jego kanonizacyę. Wszyscy książeta, choć niechętni duchowieństwu, oświadczyli chęć poparcia zabiegów biskupa, kiedy jeszcze jedna okoliczność zapaliła skłonną do religijnych uniesień wyobraźnię ówczesnych ludzi.

Niejaki Falisław, rycerz, niedawno uzdrowiony z ciężkiej słabości, przyszedł do Prandoty, zapewniając, że mu się ukazał zmarły jego poprzednik na krakowskim biskupstwie, Wisław. Widział go wyraźnie, zdejmującego swe szaty biskupie za to, jak mówił, że nie starał się za życia o kanonizacyę męczennika Stanisława z Szczepanowa. „Idź (miał rzec do Falisława) i powiedz o tem Prandocie!“.

Zebrawszy tedy wszystkie dowody cudów, nakłonił biskup Bolesława Wstydliwego, że wysłał poselstwo do papieża Innocentego IV. celem wyjednania kanonizacyi, poczem sam wobec licznie zgromadzonego ludu, mając już zezwolenie papieża, wyniósł wśród wspaniałych uroczystości r. 1254 relikwie Świętego z grobu i w ołtarzu je umieścił.

Kiedy w r. 1241 cesarz niemiecki Fryderyk II. wystąpił przeciw stolicy apostolskiej, papież Innocenty IV. na zwołanem przez siebie koncylium w Lyonie oskarżył go o kacerstwo, zabójstwo wielu księży, o bluźnierstwo i świętokradzkie użycie naczyń kościelnych. Klątwa kościelna zrzuciła Fryderyka z tronu. Papież udał się wówczas na pobyt do Francyi, a Prandota wraz z duchowieństwem zebranem na synodzie we Wrocławiu r. 1248 postanowił wspierać Stolicę Apostolską hojnymi datkami, oddając przez trzy lata piątą część dochodów kościelnych na ten cel.

Prandota był powiernikiem Bolesława Wstydliwego, zwłaszcza w czasie jego sporu z Konradem, księciem mazowieckim a stając równocześnie w obronie dóbr kościelnych napominał go surowo. Gdy groźby biskupa nie odniosły pożądanego skutku, rzucił podczas synodu w Łęczycy r. 1245 na księcia klątwę.

Po drugim napadzie dziczy tatarskiej r. 1260 cała prawie Polska leżała w gruzach. Wylękli mieszkańcy wychodzili z kryjówek, aby się spotkać z drugą nieomal również srogą klęską, z głodem. Nasz biskup oddał wtenczas wszystko co posiadał ubogim, a za jego przykładem poszedł Bolesław i żona jego Kunegunda. Rycerstwo polskie również nie zaniedbało najświętszego obowiązku wobec bliźnich zwłaszcza, że biskup Prandota dawał sam tak chlubny przykład. Nazwany przez współczesnych „ojcem ubogich“, opiekował się sierotami, wspierał potrzebujących, uposażał hojnie i budował kościoły i szpitale. Książę Bolesław nadał

też kapitule i buskupowi różne swobody, a kościołowi część wsi Bolechowice. Zachęcony przez Prandotę, sprowadził do Polski zakon Franciszkanów, co wywarło wówczas ważny wpływ moralny na cały kraj. Jedne zakony ostrością życia, drugie pracowitością i nauką niosły zbudowanie wiernym. Butnego i zuchwałego rycerza, rozbrajała pokora człowieka w habicie zakonnym. Niezmordowana praca dla chwały Bożej i zbawienia bliźnich nadwyrężyły wreszcie zdrowie bogobojnego męża, lecz i w czasie choroby spełniał niestrudzenie obowiązki kapłańskie. W ostatnim dniu życia przyjął Sakramenta św., wysłuchał mszy św. w kaplicy, a odniesiony do domu, skonał spokojnie r. 1266, po 24 latach rządów nad dyecezyą krakowską. W r. 1444 pamiętnym klęską króla Władysława pod Warną, odbyła się w katedrze na Wawelu rzadka a wspaniała uroczystość. Kardynał Zbigniew Oleśnicki w otoczeniu duchowieństwa uczestniczył przy wydobyciu zwłok biskupa Prandoty, spoczywających w pośrodku kaplicy ŚS. Piotra i Pawła. Zaledwie podniesiono wieko trumny, aby się przekonać o stanie szczątków, rozeszła się wokół cudowna woń, napawająca obecnych jakimś wewnętrznem ukojeniem. Woń nie ustawała przez cztery dni, a z pomiędzy chorych i nieszczęśliwych, którzy grób zwiedzili, niejeden doznał ulgi. Po odprawieniu solennego nabożeństwa, złożył kardynał relikwie z powrotem w to samo miejsce i polecił wystawić nowy, piękny nagrobek z napisem: Świętobliwy Sługa Boży, Jan Prandota, biskup krakowski, zmarły r. 1266.

Nie ulega wątpliwości, że wiara w świątobliwość i przemożne w obliczu Boga zasługi Prandoty stale się później utrzymywała, a nawet nowymi dowodami łaski wszechmocy Boskiej została stwierdzoną, skoro r. 1639 Erazm Kretkowski, archidyakon i oficyał krakowski podniósł szczątki biskupa z grobu i w ścianie kaplicy je umieścił.

Przenajświętszy Sakrament w Luwrze.

Chwała Francyi, jeden z najsławniejszych generałów Ludwika XIV, Turenne, był protestantem. Król francuski, który go cenił i kochał, jako najznakomitszego męża swego wieku, smucił się, widząc go w błędzie, bo ten waleczny rycerz, słynny ze swej prawości, większymby jeszcze zajaśniał blaskiem, gdyby do wszystkich cnót, jakie go zalecały, łączył prawdziwą wiarę, która jedynie uświęca uczynki nasze i daje nam prawo do Nieba.

Król często mu oświadczał, iżby go rad widział katolikiem, a życzenia Ludwika XIV uważano zwykle za rozkaz. Ale prawy charakter generała nie dozwalał mu okazać się dworakiem kosztem własnego sumienia, gdyż nie poznawał jeszcze błędów protestanckich.

Bossuet, biskup z Meau, potężny geniusz, jaśniejący pomiędzy tylu wielkimi mężami siedemnastego wieku, chciał go w tym względzie oświecić, wykazując fałsz herezyi Lutra, a Boskie posłannictwo Kościoła Katolickiego. Marszałek w dobrej wierze chętnie przyjął propozycyę badań religijnych, bo szlachetna jego dusza prawdy tylko szukała. Wzniosłość nauki Chrystusowej, powaga, jasny wykład Bossueta, jego przekonywająca wymowa wielkie uczyniła wrażenie na prawym umyśle Turenna, który po kilku rozprawach mocno był zachwiany w swem przekonaniu.

Ale uprzedzenia wychowania są uparte, wiara jest łaską Bożą, a tajemnice jej przechodzą pojęcie rozumu ludzkiego. Dogmat o prawdziwej obecności Pana Jezusa w Przenajświętszym Sakramencie najwięcej mu przedstawiał trudności.

— Och! byłaby to zbyt pocieszająca prawda! — myślał sobie. — Pan Bóg tyle już uczynił dla człowieka, tyle miłości okazał mu, ponosząc mękę i śmierć okrutną dla jego zbawienia! Czemuż nie mogę zdobyć przekonania o tej wzniosłej Tajemnicy!... Szczęśliwi katolicy, że temu wierzą! Lecz w takim razie powinniby całe życie przepędzać u stóp ołtarzy. Co do mnie, gdybym wierzył w prawdziwą obecność Boga w Eucharystyi, to czołem w prochu czciłbym Go nieustannie!

Tak z jednej strony umysł szlachetny i prawy, z drugiej wzniosły geniusz, a szczególniej łaska Boża, szczęśliwie uwieńczyły gorliwe usiłowania biskupa; marszałek wszystkie uczucia serca swego przelał w to krótkie westchnienie: — „Panie, spraw, abym przejrzał!“

Konferencye te odbywały się w Luwrze, gdzie dwór czasami przebywał, gdy pewnego razu wielkim krzykiem przerwane zostały; wśród strasznego zamieszania wołano: — Pożar! pożar!... W rzeczy samej ogień wybuchnął w wielkiej galeryi, prowadzącej z Luwru do Tuilleries *), i zagrażał zniszczeniem gmachów i wszystkich arcydzieł sztuki. Sekwana wprawdzie była niedaleko, ale wiatr potężny wzdymał płomienie, i wszystkie usiłowania ratunku daremnemi się zdały. Przybiegłszy na miejsce niebezpieczeństwa, nieustraszony generał rzuca się w ogień i przewodniczy obrotom strażaków z narażeniem własnego życia... Gdy tymczasem biskup, innem przejęty uczuciem, wzywa na pomoc władcę wszechświata, Chrystusa, któremu wiatry i morza są posłuszne... I oto wśród ogólnego zamieszania, wśród żarów płomienia i kłębów dymu daje się słyszeć głos dzwonka, a na końcu galeryi ukazuje się Przenajświętszy Sakrament; wszyscy ze czcią upadają na kolana, a krzyki przerażenia w błagalną zamieniają się modlitwę i w tejże chwili na rozkaz Pana Zastępów gaśnie ogień, wiatr ustaje... Obecni radośnymi głosy wielbią Boga.

Turenne, widząc taki cud, poddaje swój rozum, korzy się przed Bogiem, składa cześć Jezusowi w Hostyi!...

Odtąd wierny katolik, postępuje za orszakiem Króla Niebieskiego, gdy po uroczystem błogosławieństwie, wśród dziękczynnego hymnu „Te Deum“, odniesiono Przenaświętszy Sakrament do kaplicy.

Zdarzenie to opisane jest w listach królewskich z roku 1667.

Skoro tylko Turenne poznał prawdę, wnetże ją pokochał i w życie wprowadził. Z jakiemż uszanowaniem i pobożnością słucha on Mszy świętej! z jakąż pokorą uwielbia dzieła Boże, których rozum ludzki nie pojmuje! Zaledwo przyjął wiarę świętą, już jej broni; zaledwo przywdział zbroję światłości, wnetże walczy z potęgą ciemności, ze drżeniem pogląda w przepaść, z której go Bóg wydźwignął, i podaje rękę tym, którzy w niej pozostali... Rzekłbyś, iż to jego powinnością wprowadzić do Kościoła wszystkich herezyą lub schyzmą od niego odłączonych, — z takim zapałem nad tem pracuje, oświeca ich mądrą radą i własnem doświadczeniem, pociąga miłością, hojnemi dobrodziejstwy, na wzór Boga, którego ukochał.

Najważniejszy krok.

W gazetach czytamy często ogłoszenia treści następującej: „Kawaler, wolny od wojskowości, poszukuje dla braku znajomości pań, stosownej towarzyszki

życia. Panny lub młode wdowy, posiadające odpowiedni majątek, raczą swe oferty z całem zaufaniem przesłać itd.“. — lub też: „Celem późniejszego związku pragnie młody człowiek zapoznać się z panną miłej powierzchowności i dobrze wychowaną“... Podobne ogłoszenia puszczają w świat także ze swej strony i panny. Nie chcemy twierdzić, jakoby w ogłoszeniach tych nie było nieraz szczerych zamiarów, lecz możemy i powątpiewać, czy rzecz we wszystkiem jest uczciwie i sumiennie obmyślona, czy niema w niej ukrytych zamiarów, obliczonych na chwilową zabawkę, a może i sprośną igraszkę z czcią i honorem ludzkim. Dlatego zaleca się osobom interesowanym daleko posuniętą ostrożność.

Bądź jak bądź, tak czy owak, rzecz prowadzi do małżeństwa. Stąd dzisiaj o małżeństwie, jako o najważniejszym kroku, słów kilka pomówić chcemy.

Małżeństwo było i będzie celem kobiety, nie wyłącznym oczywiście, lecz bezwątpienia z różnych powodów najgłówniejszym. Jeśli więc przeznaczeniem ogółu, z małymi wyjątkami, jest zamążpójście, należy to wziąć pod uwagę przy wychowaniu córek i przygotować je zawczasu do tak ważnego kroku, by w chwili rozstrzygającej o losie całego życia, młoda dziewczyna nie działała pod wrażeniem lekkomyślnego uniesienia, ale rządziła się sercem, a przedewszystkiem rozumem.

Jeśli dane słowo obowiązuje uczciwego człowieka, cóż dopiero przysięga wspólna przed ołtarzem, w obliczu Boga! Zawierając ślub, przysięgamy miłość i musimy zdawać sobie sprawę z uroczystości tej przysięgi. Bez miłości, dla względów materyalnych, czy próżności, uczciwa i rozumna panna nie wychodzi za mąż, inaczej kłamałaby miłość, a kłamstwo takie mści się poważnie w późniejszem życiu.

Cóż jednak rozumieć należy przez miłość? Czy jedynie upodobanie przelotne, chwilowe rozmarzenie, podniecenie nerwów, grę bujnej wyobraźni?

Zaiste, na wędrówkę przez życie byłoby to strasznie mało.

Miłość, która jest podstawą każdego dobrego małżeństwa, opiera się przedewszystkiem na szacunku i wzajemności, jest ona gorącem pragnieniem uszczęśliwienia i dopomagania sobie w życiu. Już bowiem w Piśmie św. czytamy: „Lepiej tedy być dwiema społem, niż jednemu, albowiem mają pożytek ze swego towarzystwa. Jeśli jeden upadnie, drugi go podniesie. Biada samemu, bo jeśli upadnie, niema ktoby go podniósł“.

Takie pojęcie miłości w małżeństwie uchroniłoby tysiące młodych ludzi, zabierających się do stanu małżeńskiego, od lekkomyślności, którą nieraz całem życiem przychodzi im odpokutować.

Więc nie dla przyjemności, ani dla interesu zawierać należy wieczyste śluby, lecz dla wspólnego wspomagania się przez życie, dla podtrzymywania się i prowadzenia do coraz wyższych celów.

I o tem wiedzieć powinny córki nasze. Zamiast uśmiechu, ilekroć mowa o małżeństwie, jakoby ono było „wiecznem weselem“, trzeba, aby wiedziały, że to rzecz niezmiernie ważna i święta, do której należy się, póki czas, rzetelnie przygotować.

Ażeby się do siebie dostosować i najwięcej dobrane charaktery przejść muszą ogniową próbę: najszczęśliwsze małżeństwa pamiętają ze swego wspólnego pożycia chwile ponure. Bo też każda kobieta, wychodząca za mąż, przyjąć musi na siebie obowiązki, które nieraz ciążą jej jak kamień.

Dlatego też już od młodości powinno się wyrabiać tak u dziewcząt, jak u chłopców przedewszystkiem charakter, to jest stałość przekonań i woli, a zarazem siłę panowania nad sobą. Męstwo ducha bowiem jest w małżeństwie równie pożądane, jak zdrowie ciała i zalety serca. Tylko kobieta z charakterem będzie umiała być towarzyszką męża w doli i niedoli, w pracach i trudach, w troskach od życia nieodłącznych, których nam czasy obecne niezliczenie wiele przynoszą.

Stosunki się zmieniają, prócz słodyczy i uległości potrzeba dzisiaj przy wychowaniu córek czegoś więcej jeszcze, a mianowicie, ażeby kobieta-żona i matka była ową „mężną niewiastą“, którąby upatrywała ścieżki domu swego i chleba próżnując nie jadła“.

Czas narzeczeństwa zatem poświęcić należy gruntownemu poznaniu się wzajemnemu, bez zbytniego pośpiechu, a wtedy będzie więcej dobranych i szczęśliwych małżeństw, zgodnie i wspólnie dla Boga i ludzi dzieci wychowujących, więcej dobrych ojców i matek, więcej takich dzieci, co wyrastać będą na chlubę społeczeństwa i ojczyzny. („Dom rodzinny“).

Czy mamy zmienić sposób wydawania naszego pisma.

W numerze kwietniowym „Polskiego Siewu“ w artykule pod powyższym tytułem zwróciliśmy się do naszych czytelników z zapytaniem, czyby nie należało zmienić sposobu wydawania naszego pisma. Idzie bowiem o to, czy „Polski Siew“ ma zatrzymać swój charakter oświatowo-religijny, czy też ma się zmienić na pismo polityczne.

Sprawą tą dosyć żywo zainteresowali się niektórzy czytelnicy, czego najlepszym dowodem są nadesłane listy o tym przedmiocie.

Zamieszczamy więc następujące dwa listy:

Rajsko p. Oświęcim, d. 8/4 1917 r.

Szanowna Redakcyo!

Jako stała czytelniczka „Polskiego Siewu“, ośmielam się napisać do Szan. Redakcyi parę słów. — Kiedy w ostatnim numerze przeczytałam ustęp p. t.: „Czy zmienić sposób wydawania naszego pisma?“, doznałam dziwnego jakiegoś smutku. Jakto, myślałam sobie, pismo, które prowadzi nas do Boga, podnosi i krzepi ducha, zapala do cnoty, jednem słowem pismo najlepsze ze wszystkich pism peryodycznych, ma być zmienione, ach to niepodobne! Dlatego błagam Szanowną Redakcyę nie zmieniajcie Waszego pisma, bo ludzie nie będą tak czytać, jak teraz. Pozdrawiam Szanowną Redakcyę i kreślę się z wyrazami głębokiego szacunku Wiktorya Kamińska, czytelniczka.

Andrychów w kwietniu 1917.

Wielce Szanowna Redakcyo!

W numerze czwartym na kwiecień 1917 r. „Polskiego Siewu“ znajduje się artykuł Sz. Redakcyi p. t.: „Czy mamy zmienić sposób wydawania naszego pisma?“, a zamieszczony dlatego, że niektórzy czytelnicy chcieliby, ażeby „Polski Siew“ zajmował się również sprawami politycznemi.

A ponieważ Szan. Redakcya prosi czytelników, by wypowiedzieli swoje zdanie w tej sprawie, więc i ja jako czytelnik wielce pożytecznego pisma, napiszę parę słów.

Otóż najpierw na pytanie „Czy mamy zmienić sposób wydawania naszego pisma?“ odpowiem, że należy, a to w ten sposób, by z miesięcznika zmienić go na tygodnik, gdyż u nas w Galicyi właśnie takiego czysto religijnego pisma tygodniowego brak, bo chociaż są niektóre, jak się same nazywają z tytułu katolickie, to jednak nie postępują jakby należało, gdyż aż nadto zajmują się polityką i wszczynają nawet swary między drugiem stronnictwem i napadają na drugie pismo.

A taka gazeta, jak „Polski Siew“, którąby wychodziła tygodniowo i stała zdala od walk politycznych, jakie prowadzą między sobą inne pisma, byłaby bardzo pożądana.

Zamiast różnych wojowniczych artykułów politycznych, zamieszczać w takiem pismie różne opisy czy to z Ziemi świętej, czy z innych świętych miejsc, przykłady religijne, powiastki, listy od żołnierzy z opisami przygód i wrażeń z wojny. A także dla oświaty, artykuły z dziedziny wiedzy i nauki, czy gospodarstwa, krótką kronikę zdarzeń z tygodnia, rady praktyczne, a oprócz tego osobny dodatek na każdą niedzielę z Ewangelią i stosowną nauką, jak to czyni „Prawda“ albo „Przewodnik Katolicki“ w Poznaniu.

Sądzę, że czytelnicy „Polskiego Siewu“ chętnieby się na taką zmianę pisma zgodzili i tych kilku koron na prenumeratę nie pożałowali. I każdy rozumnie myślący, a o zbawienie duszy dbający człowiek, powinienby sobie takie pismo zaprenumerować, a odniósłby wielką korzyść, gdyż zamiast szukać rozrywki przy kieliszku, na co wyda nie kilka, lecz kilkadziesiąt koron rocznie, nauczyłby się z budujących artykułów tego pisma, jak ma postępować podług praw i przykazań Boskich i wobec bliźnich.

Niechaj Szan. Redakcya zamieści ten list w „Polskim Siewie“ i poda od siebie swój pogląd na sprawę powiększenia pisma, do wiadomości czytelników. Ażeby, o ile będzie można, już od lipca tego roku mogła Sz. Redakcya wydawać pismo na każdą niedzielę, co byłoby bardzo pożądane.

Łącząc pozdrowienie dla Sz. Redakcyi i Czytelników, kreślę się Czytelnik „Polskiego Siewu“.

Obydwa zamieszczone powyżej listy stwierdzają najlepiej nasz pogląd, wyrażony w numerze kwietniowym, że nie jest pożądaną rzeczą, ażeby „Polski Siew“ zamieniać na pismo polityczne. Owszem, pismo oświatowo-religijne jest bardzo potrzebne w naszym kraju.

Czytelnikowi z Andrychowa najzupełniej przyznajemy, że bardzo przydałoby się zmienić „Polski Siew“ z miesięcznika na tygodnik. Istotnie poznański „Przewodnik katolicki“ jest doskonałym pod tym względem wzorem. Samo przez się rozumie się, że tygodnik lepiej i skuteczniej oddziałuje na czytelników, aniżeli miesięcznik. Nie jest wykluczone, że tę pożądaną zmianę kiedyś „Polski Siew“ zaprowadzi. Na razie jednakowoż z powodu drożyzny papieru i z powodu wielu innych trudności, wywołanych wojną, ta zmiana na lepsze nie da się jeszcze przeprowadzić.

W każdym razie niech Czytelnicy będą przekonani, że Redakcya czyni, co może, ażeby pismo udoskonalić i zapewnić mu jak najlepszy rozwój na przyszłość.

Św. Antoni Padewski i ukradziona mu biblia.

Gdy św. Antoni Padewski († 1231) przebywał w klasztorze w Limoges, uciekł raz z tego klasztoru jeden nowicyusz. Zostawił swe szaty zakonne, natomiast zabrał z sobą biblię pisaną, własność św. Antoniego. Biblia ta przedstawiała dla Świętego wartość ogromną, bo pełną była na skrawkach uwag pisanych, które stanowiły owoc długoletniej pracy Świętego. Modlił się Święty do Zbawiciela, by dopomógł mu do odzyskania książki, i prośby te nie pozostały bezowocne. Ów nowicyusz dręczony był ustawicznie wielkimi wyrzutami sumienia i dopóty nie zaznał spokoju, aż wrócił zabraną księgę. Pewnego dnia znaleziono biblię pod bramą klasztorną. (Zdarzenie to jest zapewne powodem, że ludzie wzywają pomocy św. Antoniego, jeśli chodzi o odnalezienie zgubionych przedmiotów. Wzywanie w takich razach okazało się też nieraz bardzo skutecznem).

Bóg czuwa nad nami.

Było to w zimie. Po niebie snuły się ciężkie, ołowiane chmury, zasłaniając to przecudne a czyste, jak łza niebo południowe. Deszcz już od kilkunastu dni padał bez przerwy, co wcale nie nastrajało marynarza różowo. Ale cóż to wszystko znaczy wobec tego potężnego słowa „urlop“ — tak, otrzymałem urlop; radość wielka, bo oto po kilkunastu miesiącach zobaczę swoje rodzinne strony, usłyszę swoją gwarę, uściskam swoją żonę kochaną, ucałuję dziatki, które ojca swego dobrze nie znają, bo w czasie wojny się urodziły. Nauczono je wymawiać słowo „tata“, ale biedne dzieci nie rozumieją znaczenia tego słowa, bo jakże rozumieć mają, kiedy ojciec już trzy lata na wojnie.

Pożegnałem kolegów, kajutę, której najmilszą i jedyną ozdobą jest obrazek Serca Jezusowego, wsiadłem do łodzi, która przeżynając fale ciągle kołyszącego się morza, zawiozła mnie do portu. Za niespełna godzinę znalazłem się w ogrzanym wagonie pociągu pospiesznego, który mnie miał zawieźć w moje ukochane strony, dokąd myślą już dawno wybiegłem. — Z okna mojego przedziału rzuciłem zwrokiem po raz ostatni w te strony, które opuściłem. Jeszcze widać zdaleka to morze tak groźne, a jednak tak majestatyczne, tak piękne. Mimowoli jakiś żal za nim mnie ogarnął: nic dziwnego, tyle lat tam spędziłem, tyle przejść tam miałem. Było ono świadkiem niejednej wesołej, ale i smutnej chwili, niejedną cichą łzę ono podpatrzyło. Tam się zrodziła moja miłość ku mojej małżonce, tam też przed rokiem miałem znaleźć grób swój, kiedy torpedowiec nasz najechawszy na miny, zatonął. Że jestem dzisiaj tutaj, zawdzięczam to modlitwom moich dziatek, które codziennie za tatusia się modlą, żeby wrócił z wojny. Tak dumając nie zauważyłem nawet, że już daleko odjechałem od mojego ukochanego morza, daremnie go szukam na dalekim horyzoncie, natomiast inny krajobraz się wysuwa im dalej pędzimy. Mijamy wsie i miasta, przecinamy rzeki, tam dalej wznoszą się góry, piękny to widok, gdy pogoda dopisze, ale dzisiaj nie bardzo zapraszający, bo ulewa deszczowa wszystko zeszpeciła. Rzeki wezbrane, potoki górskie przepełnione rozbijają się w tysiącznych kaskadach. Wreszcie i noc wcześniej zapadła, okrywając czarnym całunem świat, a nas podróżnych tuląc do miłego snu, do czego rytmiczne ude-

rzenie kół pomagało. Zasnąłem i ja. Jak długo spałem nie wiem, gdy w tem nagle znalazłem się na podłodze wozu. Zrywam się przestraszony z ziemi i spostrzegam, że pociąg stoi. Pędzę do okna i oto wśród ciemności zarysowują mi się kontury wysokiej skalistej góry, poza tem cisza. Wytężam słuch i oto słyszę, że i inni otwierają okna ciekawi, dlaczego pociąg stanął. Pędzę do drugiego okna, otwieram, tu słyszę plusk wody, syczenie i huk straszny wezbranej rzeki. Patrzę na zegarek, godzina druga po północy. Zaniepokojony wyskakuję przez okno, za mną wyskoczył mój towarzysz podróżny, również wojskowy. Lecę ku maszynie, aby u maszynisty zasięgnąć bliższych wiadomości. Lecz zaledwie kilkanaście kroków uleciałem, rozlega się straszny huk, łomot, słychać trzeszczenie i łamanie desek. Ochłonąwszy z pierwszego przerażenia i rozejrzawszy się dokładnie, poznałem nasze niebezpieczne położenie. Oto nasz pociąg znalazł się na bardzo wązkiej przestrzeni, z jednej strony rzeka wezbrana wielka, a z drugiej strony góra skalista wysoka. Z tej to góry oderwał się wielki odłamek skalny i całym swoim ciężarem spadł na pędzący pociąg, druzgocąc na miejscu trzy pierwsze wagony, odcinając w ten sposób maszynę od reszty wagonów. Pociąg dlatego stanął, a ja znalazłem się na podłodze wozu. Obecnie po raz drugi skała zerwała się z góry i spadła całym swoim ciężarem na ów czwarty wagon, z którego co dopiero uciekłem, druzgocąc go na miejscu. Byłbym znalazł tam grób swój, gdyby nie szczególniejsza łaska Boża, która kilka zaledwie minut przedtem ze snu mnie obudziła i do ucieczki przynaglała. Mój Boże, pomyślałem sobie, nie jeden z tych żołnierzy zabitych uniknął na froncie kuli nieprzyjacielskiej i tysiącznych okazyi śmierci, a tutaj, kiedy zasnął snem spokojnym, marząc w nim o rodzicach ukochanych, o braciach i siostrach, o żonie i dzieciach, które spodziewał się wkrótce zobaczyć, nagle jak złodziej wkrada się śmierć i zabiera to tak drogie każdemu życie. To też tem większą wdzięczność uczułem w sercu dla mojego Pana, który mnie z tego niebezpieczeństwa tak cudownie wybawił. Ale teraz trzeba było do działania przystąpić. Wszyscy stali pod wrażeniem tego wypadku jak wryci, niewiasty trzęsły się ze strachu, słowa nie będąc w stanie wymówić, dzieci płakały. Pędzę do maszynisty, aby pociąg zabezpieczyć przed najechaniem go przez drugi, który wkrótce mógł nadejść, a wtedy katastrofa byłaby straszna, bo na tej wązkiej przestrzeni nie było miejsca do bezpiecznego schronienia się. Maszynista drży ze strachu, innych funkcyonaryuszy kolejowych z wyjątkiem jednego na pół zwaryowanego nie było, biedni padli ofiarą swojego zawodu. Biorę zatem sam lampy z czerwonem światłem i stawiam w pewnej odległości przed i za pociągiem. Tak zabezpieczywszy pociąg, bierzemy się wspólnie z innymi mężczyznami, którzy już ochłonęli ze strachu do ratunku, niestety nasza akcya nie wiele się przydała: trzydzieści trupów wydobyliśmy ze zdruzgotanych wagonów, jednego tylko żyjącego, ale z odciętemi nogami, który jednak wkrótce ducha wyzionął. Zmęczyliśmy się bardzo, a umarłym i tak pomódz nie mogliśmy, dlatego postanowiliśmy o sobie teraz pomyśleć. Jechać nie można, telefonować się nie dało, bo nie było nigdzie w pobliżu stacyi telefonicznej, trzeba było pieszo maszerować do stacyi, z której wyjechaliśmy. Pochód się ustawił, stanęły blade jak trup niewiasty, tu znów dzieci od zimna i strachu trzęsące się jak osiki, tuliły się do obcych sobie mężczyzn, dalej znów mężczyźni, którzy tworzyli jakby straż jakąś. Wspólny los złączył tych ludzi z różnych ziem i języka jakimś dziwnym serdecznym węzłem. W pochodzie byli i tacy, którzy i ubrania ciepłego nie mieli i boso maszerowali, bo stracili w tej katastrofie, ale co znaczyło to dojmujące zimno, ten deszcz lub ta woda, w której aż po kostki brodzić było trzeba wobec tego, że się unosi życie ocalone. Po sześciu godzinach męczącego marszu doszliśmy do stacyi, gdzieśmy zaraz naczelnikowi donieśli o wypadku. Zajęto się nami: w hotelu umieszczono rozbitków, stół zastawiono napojami i ciepłemi potrawami, które nam po takim marszu i strachu wybornie smakowały. Lekarze badali rannych i chorych. Spisano protokół. Ale czy i kiedy pojedziemy dalej, oto pytanie, które sobie każdy stawiał. — Wprawdzie lęk ogarniał każdego na samo wspomnienie, że trzeba będzie dalej jechać, ale z drugiej każdy pragnął jak najprędzej znaleźć się między swoimi. Wreszcie zawiadomiono nas, że możemy dalej jechać z różnemi przeszkodami, nieuniknionemi przy takiej katastrofie. Była to straszna jazda, nerwy nader rozstrojone, w każdem zatrzymaniu się pociągu przeczuwało się jakiś wypadek. Dwie noce, które jeszcze w pociągu spędzić musiałem, już mnie śpiącego nie zastały, senność pierzchła zupełnie z óczu moich. To też kiedy nad ranem odezwał się głos konduktora wywołującego nazwę miejscowości, do której dążyłem, ucieszyłem się niezmiernie. Jakie uczucie błogie owładnęło mną, kiedy stanąłem na ziemi mi dobrze znanej, kiedy już nie słyszałem turkotu kół, sapania maszyny: wreszcie uwolniony z czyśćca. W kilkanaście minut znalazłem się już między swoimi. Oczywiście już to taka natura ludzka, że czem serce przepełnione, tem i usta pełne. Całe moje zdarzenie opowiedziałem, a wszystkim stanęły w oczach łzy wdzięczności. Cicha, ale serdeczna modlitwa żony i dziatek moich unosiła się w kościółku na podziękowanie Najśw. Sercu Jezusowemu, że ich nie uczynił sierotami.

W kilka dni przyjeżdża mój brat z frontu do rodziców i opowiada o różnych przygodach, jakich dzisiejsza wojna dosyć dostarcza. W toku tegoż opowiadania dodaje, że byłby już wcześniej na urlop przyjechał, ale tragiczny wypadek przeszkodził. „Nasz pociąg — opowiada — musiał nagle w polu zatrzymać się, a następnie wracać. Byliśmy wszyscy bardzo zdziwieni, każdy się pyta, co to ma znaczyć. Dopiero na stacyi wyjazdu dowiedzieliśmy się, że pociąg, który przed nami jechał, został przez skały, które się z gór zerwały, zdruzgotany. 150 pasażerów zabitych. Latarka czerwona, która przed pociągiem zniszczonym stała między szynami, nie pozwoliła nam dalej jechać, musieliśmy zatem wracać".

Na to rzekła matka: „Widzisz mój synu, jak dziwnie Bóg kieruje i czuwa nad tymi, których ocalić chce Tym pociągiem nieszczęśliwym jechał twój brat, którego Bóg cudownie ocalił, a przez niego i twoje życie, bo oto twój brat postawił na torze kolejowym tę czerwoną latarkę, aby ostrzedz każdy pociąg, któryby się zbliżył, przed niebezpieczeństwem". **X. J.**

Męczennik czci Najśw. Sakramentu.

Było to w czasie wojen hugonockich we Francyi. We wsi katolickiej odbywała się z wielką uroczystością procesya Bożego Ciała. Droga, którą procesya się odbywała, graniczyła z parkiem, okalającym posiadłość protestantów. W tym parku stał ukryty człowiek ze

strzelbą i mierzył nią w kapłana, niosącego Najśw. Sakrament.

Pewien katolik, który to spostrzegł i zarazem myślał, że ów człowiek nietylko w kapłana, ale i do Najśw. Sakramentu, przeciw któremu najbardziej złość heretyków się burzyła, celuje, aby go w oczach katolików znieważyć, pełen żywej wiary i gorącej miłości rzucił się pomiędzy owego złoczyńcę i Pana Jezusa, ukrytego w Najśw. Hostyi, właśnie w chwili, gdy padł strzał. Kula powaliła dzielnego katolika, który padł u stóp kapłana.

Choć śmiertelnie raniony, żył jeszcze ów męczennik... Głęboko wzruszony kapłan miał tyle przytomności umysłu i to święte natchnienie, że natychmiast wyjął Najśw. Hostyę z monstrancyi i podał ją konającemu, mówiąc te słowa:

— Mój synu! Jesteś godzien natychmiast przyjąć Ciało Pana naszego, któremu publicznie cześć oddajemy.

Tak skonał męczennik czci Najśw. Sakramentu z Najśw. Sakramentem w sercu.

Św. Karol Boromeusz przy grze.

Nawet chwile wytchnienia mogą być zasługą przed Bogiem, jeżeli się ich używa ze względu na Boga. O św. Karolu Boromeuszu, Arcybiskupie medyolańskim, opowiadają następujący wypadek:

Na prośby kilku kapłanów grał raz św. Karol w bilard. Wśród zabawy rzekł jeden z kapłanów:

— Co poczęlibyśmy, gdyby za godzinę miał być sąd ostateczny?

Jeden z kapłanów rzekł:

— Ja uciekłbym się natychmiast do modlitwy.

Inny rzekł:

— Ja odbyłbym zaraz spowiedź generalną.

Inni mówili znów co innego. Ale św. Karol milczał, wiedząc, że pytanie to głównie jego dotyczy. Gdy i jego zapytano, coby wtenczas uczynił, rzekł:

— Ja grałbym spokojnie dalej: zacząłem bowiem grę w intencyi, aby Bogu przez nią cześć oddać!

Zdziwili się wszyscy tą odpowiedzią, takiej bowiem nikt się nie spodziewał. Można więc i rozrywką Boga czcić i dobry uczynek spełniać.

Co ja też zgubiłem?

Mąż znanej mi pani, stary oficer, wychowany był bardzo bogobojnie od swej pobożnej matki; ale życie żołnierskie wszystkie te dobre nauki zagłuszyło; był to zresztą prawy człowiek, ale w miejsce silnej wiary powstały nasamprzód wątpliwości, aż w końcu wpadł w zobojętnienie religijne, które tak często jest tylko pokrywką bezbożności.

Żona jego nieraz gorzkie łzy wylewała nad smutnym stanem duszy swego małżonka, którego aż nadto miłowała, aby jej było obojętnem jego zbawienie. Jakże często w gorącej modlitwie błagała o nawrócenie męża, który na szczęście tak jej, jako i córce zupełną zostawił wolność co do obowiązków religii.

Do wielkiej boleści nowa się boleść przyczyniła: mąż bowiem oświadczył jej, że został wolnomularzem. Powiedział to tonem wcale obojętnym i nie zauważył, że żona jego na tę wieść od przerażenia pobladła i córkę do serca przytulała, jakby liczyła na potęgę jej niewinności, która miała ocalić ojca i męża od zguby wiecznej.

W pokoju swoim miała statuetkę świętego Antoniego z Padwy. Skoro na nią spojrzała, przyszła jej nagle myśl, która ją pociechą napełniła.

— Moje dziecię — rzekła do córki — módl się wiele i gorąco do św. Antoniego, aby twój ojciec znalazł to, co stracił.

— A cóż tato utracił? — zapytało dziecko.

— Potem się o tem dowiesz, módl się tylko i nic ojcu o tem nie mów!

Z dziecinną prostotą wzniosła dziewczynka niewinne swe oczy do statuetki, i złożywszy ręce tak się modliła serdecznie:

— O święty Antoni, spraw, aby mój ojciec to znalazł, co stracił.

W tej chwili drzwi się otwarły i wszedł ojciec, chcąc matce powiedzieć, że zamyśla wyjść na przechadzkę. Odchodząc, myślał nad słowami, które słyszał przy wejściu, jak się córka modliła: „Co ja też mogłem stracić?“ — pytał samego siebie.

— Zapewne żona coś zarzuciła, ale dziwny pomysł, taką rzecz przed statuą wygłaszać. Ale cóż też na tem zależy? Ona tak dobrą jest żoną i matką. Muszę jej jednak powiedzieć, aby była spokojna; bo zresztą gdybym coś i zgubił, tobym spostrzegł przecież.

W pierwszych dniach czerwca pogoda była tak piękna, że oficer wolał wieczór spędzić na świeżem powietrzu, jak siedzieć w loży.

— Dobra myśl — rzekł do siebie — zabiorę żonę i córkę i urządzimy wspaniałą przechadzkę... ale... co ja też straciłem?

Żona bardzo się cieszyła z tego i spojrzała wdzięcznem okiem na statuę św. Antoniego; ukryła tę radość, ale się zarumieniła, gdy ją mąż nagle zapytał:

— Powiedz mi przecież, czy rzeczywiście ja coś straciłem?

— Czemuż mnie o to pytasz?

— Bom słyszał, jak nasze dziecko te słowa mówiło.

Na tem stanęło; ale zakłopotanie żony nie uszło jego uwagi; nieraz też jeszcze pytał samego siebie: „Co ja też zgubiłem?“

Wieczór 12 czerwca była matka wraz z córką w pokoju; statuetka przywiodła dziecku na pamięć zlecenie matki i z dziecięcą pobożnością znowu rzekła:

— O święty Antoni, daj, aby mój ojciec to znalazł, co zgubił!

— Powiedz mi przecież co zgubiłem — zawołał zniecierpliwiony ojciec, właśnie wchodząc do pokoju. Od ośmiu dni ta myśl nie daje mi spokoju; dobrzebyś zrobiła, gdybyś mi powiedziała; wtedybym mógł osądzić, czy warta dziecko tą rzeczą utrudzać.

Wtenczas żona wstała i spokojnie ale i z powagą rzekła:

— Mój drogi, powiedz mi, czy miłoby ci było, gdybyś mnie miał na zawsze porzucić?

— O, jeśli o to się boisz, i dlatego się modlisz i do kościoła chodzisz, to sobie możesz oszczędzić trudu.

— A jednak jeśli nie znajdziesz tego coś zgubił, to się musimy rozłączyć i to rozłączyć na zawsze!

Głos jej drżał od wzruszenia, a oczy łzami się napełniły.

— Cóżem ja zgubił? powiedz!

— Wiarę! wiarę zgubiłeś, której cię niegdyś matka twa nauczyła... A ponieważ ja nie chcę z tobą się ani w wieczności rozłączyć, to koniecznie potrzeba, abyś tę wiarę odszukał.

Żona znowu się łzami zalała; mąż wyszedł, nie rzekłszy ani słowa.

Pobożna małżonka całą noc na modlitwie strawiła— ale i mąż nie spał; całą noc chodził po pokoju i często powtarzał słowa:

— Wiarę, wiarę mej matki!... wiarę mej żony, mego dziecka!...

Nazajutrz wszedł do pokoju żony, nie mówiąc ani słowa. Nagle, jakby jakaś nowa myśl mu przyszła, zapytał:

— Czy u was dziś jakie święto?

— Tak jest, mój drogi, dziś św. Antoniego z Padwy.

— Ach, tego Świętego, którego statuetkę czcicie? Serdeczne dzięki, święty Antoni!

Gdy żona zdziwiona nań spoglądała, rzekł, rzucając się w jej objęcia:

— Tak jest, moja droga, modlitwa wasza została wysłuchana; znalazłem już com był utracił!

Jeszcze tego samego poranku spowiadał się stary oficer, który straconą wiarę odnalazł.

Ostrożnie dziewczęta!

Zeszłego roku, gdym się handlem trudnił i musiałem choć gdzieś jeździć, w pewnym kościele słyszałem, jak ks. proboszcz upominał dziewczęta, by unikały lekkomyślnych towarzystw i między innymi tak wywodził: „Niektóre dziewczęta powiadają, że jakby się nie wydały, toby po śmierci świnie paść musiały, a ja wam powiadam, że jak się lekkomyślnie będziecie prowadzić, jak do ślubu dojdziecie przez utratę cnoty i niewinności, to będziecie musiały paść świnie już nie tylko po śmierci, ale jeszcze teraz za życia". Tak upominał duszpasterz przed rokiem, a ileż już teraz żałuje tych wojennych małżeństw, zawieranych naprędce z nieznanym człowiekiem, uchodźcą, inwalidą, czy jeńcem. Ileż gorzkich łez płynie z tego powodu, opowiedzieliby to najlepiej rodzice, którzy nie sprzeciwiali się lekkomyślnym zapędom swych córek. Wszak znam wypadki, że taki „wojenny małżonek" już po tygodniu po zawarciu małżeństwa opuszczał swą żonę, zabrawszy jej przedtem pieniądze, a zostawiwszy jej tylko chorobę, wstyd i zgryzoty. Zdarzają się także bardzo często pomiędzy tymi „wojennymi małżonkami" ludzie, którzy już kilka lub kilkanaście razy w ten sposób różne dziewczęta i kobiety wdowy naciągali i oszukali. A więc ostrożnie i jeszcze raz ostrożnie z zawieraniem znajomości z rozmaitymi żołnierzami, inwalidami i jeńcami! Lepiej pozostać panną przez całe życie, niż zostać „mężatką" na tydzień lub na miesiąc, a potem całe życie nosić w sercu ból, gorycz i żal do całego świata. Małżeństwo jest rzeczą zbyt świętą i ważną, zbyt wiele nakłada obowiązków, by je można z byle kim, z człowiekiem sobie nieraz zupełnie nieznanym zawierać, choćby ten człowiek zaklinał się na wszystkie świętości, że będzie dobrym mężem.

Paweł Cieśla.

Mahometanin jako sędzia rozjemczy.

Razu pewnego 4 chrześcijanie — katolik, protestant, grecki nieunita (prawosławny) i starokatolik — wybrali mahometanina na sędziego rozjemczego, ażeby rozstrzygnął, który Kościół pochodzi od Chrystusa, a więc jest prawdziwym. Mahometanin zapytał najpierw wszystkich czterech: „Wierzycie, że Chrystus jest Bogiem i że założył Kościół?" Wszyscy odpowiedzieli: „Tak". Potem zapytał protestanta: „Kiedy powstał wasz Kościół?" Protestant odpowiedział: „Przed mniej więcej 400 latami". Potem pytał go, czem byli jego przodkowie przedtem. Na to protestant: „Byli katolikami". Potem pytał mahometanin schizmatyka: „Odkąd istnieje wasz Kościół?" Tenże odpowiedział: „Od mniej więcej 900 lat". Dalej pytał mahometanin: „Czem byli twoi przodkowie przedtem?" Grek odpowiedział: „Byli katolikami". Następnie pytał mahometanin staro-katolika: „Jak długo istnieje wasz Kościół?". Staro-katolik: „Od roku 1870". Dalej pyta mahometanin: „Czem byli twoi przodkowie przedtem?". Odpowiedź brzmiała: „Katolikami". W końcu zwrócił się mahometanin do katolika z pytaniem: „Jak długo jesteście na ziemi wy katolik?" Katolik odpowiedział: „Około 1900 lat, mianowicie od czasów Apostołów": Mahometanin pytał: „Jak możecie to udowodnić, że jesteście już 1900 lat?". Katolik odpowiedział: „Tego dowodzi cały szereg Papieży, który zaczyna się od Piotra a sięga do Benedykta XV". Wtenczas mahometanin wyrzekł następujący wyrok: „Jeźli Chrystus tylko jeden Kościół założył i to przed 1900 laty, to tylko katolicy są prawdziwymi chrześcijanami, bo oni tylko mają wymagany wiek, mianowicie pochodzą z czasów Apostołów.

Zasłużona nauczka.

Pewien proboszcz przechodził obok nowej budowli, przy której pracowało wielu robotników. Widząc go jeden z murarzy, zawołał:

— Ot takim proboszczem chciałbym także być; chodzi tylko cały dzień i napycha sobie kieszenie pieniędzmi.

Proboszcz przystanął, uśmiechnął się i rzekł:

— Przyjacielu, nie jestem bogatym, ale wypłacę ci chętnie cały mój zarobek tygodniowy, jeśli przez ten tydzień będziesz chodził ze mną wszędzie, by przypatrzyć się mej pracy.

Wahał się murarz, ale na nalegania współtowarzyszów musiał zgodzić się na tę propozycyę. Przybywszy na plebanię, zapytał z ciekawością:

— A zatem gdzież teraz pójdziemy, księże proboszczu?

Kapłan rzekł mu:

— Teraz idę do człowieka, chorego na ospę, a zaraz potem do dziecka, chorego na szkarlatynę.

Pobladł murarz, zawahał się, a wreszcie na pytanie proboszcza rzekł mu:

— Nie mam ochoty zarazić się od którego z chorych. Namyśliłem się i wracam do mej pracy.

Szydzili z niego towarzysze, ale on oświadczył poważnie:

— Już nigdy w życiu nie będę wyszydzał pracy kapłanów.

Kapłan ma do spełnienia wiele uciążliwych obowiązków, za które nieraz na ziemi żadnej nie otrzymuje nagrody. Wspomnijmy tylko na nawiedzanie chorych i konających, na spowiadanie godzinami całemi w nieopalanym kościele, odprawianie późnych Mszy, kiedy to musi być na czczo nieraz aż do południa i dłużej.

Hrabia Fryderyk Stolberg.

Mąż ten urodził się r. 1750 w Holsztynie. Ojciec jego był wielkim ochmistrzem królowej duńskiej. Już w młodości okazywał hrabia Stolberg wielką miłość prawdy. Piastował przeważnie wysokie godności; był n. p. ambasadorem w Kopenhadze, później prezydentem rządu w Oldenburgu. Jakkolwiek Stolberg bardzo zważał na swą religię, jednak przekonywał się coraz bardziej, że protestantyzm nie może być prawdziwą religią, gdyż dopuszcza swobodnego tłómaczenia Biblii i tem samem wprowadza niepewność nauki. Poszedł więc po pomoc do modlitwy. Przez lat 7 modlił się gorąco, by mu Bóg wskazał prawdziwą religię. Aż raz, w czasie podróży, wstąpił ze swą małżonką do katolickiego kościoła, gdzie przypadkiem przystępowały dzieci szkolne do pierwszej Komunii św. Przed samą Komunią miał kapłan do dzieci kazanie, w którem im wskazywał owo wielkie szczęście, że są katolikami i udowadniał, iż religia katolicka jest prawdziwa. Kazanie to wywołało tak potężne wrażenie na Stolbergu, że postanowił natychmiast przejść do Kościoła katolickiego. W dzień Zielonych Świątek r. 1800 złożył razem z małżonką wyznanie wiary katolickiej wobec słynnego pedagoga Overberga. Przez to utracił swe wysokie stanowisko, a z niem roczną pensyę w kwocie 6000 talarów. Pobożny ten hrabia napisał wiele książek religijnych, między innemi obszerną Historyę Kościoła i książkę o Miłości Boga. Umarł dnia 5. grudnia 1819 r. Ostatnie jego słowa były: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

Luneta Kopernika.

Kopernik, który odkrył system słoneczny, był, jak wiadomo, kanonikiem we Fromborku w Prusach Wschodnich. Znajduje się tamże katedra, w której zobaczyć można wiele godnych widzenia rzeczy. Pewnego razu zwiedzało jakieś towarzystwo katedrę pod przewodnictwem kościelnego. Przy jednym z ołtarzy zatrzymał się kościelny i dał wyjaśnienie co do relikwii tamże się znajdujących. Na to odezwał się jakiś pan z towarzystwa, iż wątpi, żeby to były rzeczywiście owe relikwie. Wówczas odrzekł przewodnik: „Mój panie, świadectwo Kościoła usuwa wszelkie wątpliwości“. Lecz niedowiarek odparł: „Świadectwo Kościoła nie jest dla mnie wystarczające“. Potem przyszli do zakrystyi, gdzie kościelny dla żartu wyjął ze szafy, pełnej porozrzucanych bezładnie rupieci, rurę blaszaną i rzekł: „Tu oto widzicie, państwo, rzecz bardzo godną zobaczenia, a mianowicie jest to rura z lunety Kopernika“. Przedmiot przechodził z rąk do rąk. Wówczas rzekł ów niedowiarek: „Jakżeż to można taki ważny zabytek historyczny trzymać między rupieciami?“ Na to roześmiał się zakrystyan i rzekł: „Mój panie! Lunetę wynaleziono dopiero około 60 lat po śmierci Kopernika. Tutaj uwierzyłeś pan natychmiast, a przedtem, gdym mówił o rzeczach kościelnych i powoływał się na kilkunastowiekowe świadectwo Kościoła, nie chciałeś pan żadną miarą uwierzyć. Tę rurę blaszaną, która służyła do odlewania świec, na żarty tylko wydobyłem, iż chciałem tylko zażartować“. Zawstydzony niedowiarek opuścił co rychlej kościół. — Z przykładu tego okazuje się postępowanie niektórych ludzi. W prawdy religii nie chcą za żadną cenę wierzyć, nawet choćby Anioł z nieba je zaświadczył; natomiast gotowi są dać wiarę największym niedorzecznościom.

Ukarane kłamstwo.

Pewna dziewczyna kochała się w pięknych sukniach. Oszczędzała więc pieniądze, aby sobie za nie kupić piękną suknię. Razu jednego przyniosła 10 metrów wytwornej materyi do domu; za jeden metr płaciła 14 koron. Ojciec, nie znający się bynajmniej na tego rodzaju towarach, zapytał o cenę. Dziewczyna z obawy, by ojciec nie robił jej wyrzutów, odrzekła, że płaciła po 4 korony za metr. Wkrótce wyszła z domu. Podczas jej nieobecności przyszedł do domu kramarz z towarami na sprzedaż. Zobaczywszy elegancką materyę na stole, zapytał, po ile ją płacono. Ojciec odrzekł: „Po 4 korony za metr“. Wówczas oświadczył domokrążca, że da po 6 koron za metr i natychmiast zapłacił pieniądze. Ojciec dał mu materyę. Kiedy córka przyszła do domu, opowiedział jej ojciec z radością, jaki to dobry zrobił interes i dodał: „Teraz będziesz mogła sobie kupić jeszcze piękniejszą materyę“. Zaledwie córka wysłuchała słów ojca, zbladła jak chusta; jęcząc załamała ręce i lejąc łzy, opowiedziała, jak się rzeczywiście miała sprawa. Ojciec, oburzony kłamliwością córki, rzekł do niej: „Stało ci się zupełnie słusznie. Za kłamstwo zasłużyłaś na taką karę“.

„Chwalcie Maryę“.

W niebie przygotowywano się do wielkiego święta. Obłoki wydawały się być przejrzystsze, dźwięki lutni anielskich rozbrzmiewały echem niewypowiedzianej piękności, a zastępy niebieskie prześcigały się w pieśniach, pełnych uroczych, a nieznanych dotąd tonów. Podczas, kiedy o sklepienie niebios odbijał się potężny chór pieśni na cześć Pani i Królowej, archanioł Gabryel, jaśniejący większą nad inne pięknością, przebiegał szeregi błogosławionych. Jako kierownik całej uroczystości rzucał od czasu do czasu jakieś ciche słowa Aniołom, na które nikt nie mógł dać odpowiedzi. Cóż więc mogło brakować jeszcze do uczczenia Maryi wśród tego powszechnego hołdu? A jednakże ten, co był Jej opiekunem na ziemi, musiał odczuwać, jak zwykle kochające serce, brak tego, czego Pani jego brakować mogło. Uroczystość była przecudna, jak zwykle w niebie, ale nie było tam jeszcze hołdu ziemi, tej ziemi, na której Marya tyle cierpiała i tak, jak Matka ją kochała. Milczący archanioł rozglądał się po twarzach błogosławionych, pełnych radości i szczęścia.

Zatrzymawszy wzrok na jednej z nich, zadrżał z radości; w oczach świętego wyczytał odbicie swej myśli. Z szybkością błyskawicy wzniósł się do jednego z najwyżej wzniesionych tronów, a skrzydła jego zlały się w jedną całość ze śnieżno-białą sukienką świętego. Dominik i Gabryel, myśląc o Maryi, jednem i tem samem byli przejęci pragnieniem. „Idź — rzekł błogosławiony, — idź mój aniele, bracie mój, tam, na ziemi, odnajdziesz wiele miłości Maryi!“ I archanioł, pełen radości znikł, jak cień wśród srebrzystych blasków niebieskiej krainy.

A niebo śpiewało dalej: „Chwalcie Maryę!“ W tejże samej chwili jasne światło przedarło obłoki, ziemia zadrżała, jakieś tchnienie, pełne ciepła i woni ją ogarnęło, wśród srebrzystych blasków fale powietrzne szeptały coś cicho, a słodko.

W powiewie wiatru słychać było: „Chwalcie Maryę!“

Lekko, w powłóczystej sukni, z białemi skrzydłami u ramion stanął archanioł wśród traw i kwiecia na ziemi.

Kielichy, dotknięte końcami skrzydeł skłaniały ku niemu swe drżące z radości, główki. Anioł przyglądał im się przez chwilę, potem schylił się ku jednej, z dopiero co rozkwitłych róż i szeptał z cicha słowa, na które ona jeszcze żywszą oblała się purpurą. Odpowiedź jej musiała być piękną, bo łza zabłysła w oku archanioła; obrzuciwszy ją dziękczynnem spojrzeniem, zwrócił się potem ku białej lilii, rosnącej opodal i tu znów powtórzyła się tajemnicza rozmowa; a królewski kwiat skłaniał białą koronę, snać przyjął zlecenia niebieskiego posła. Potem archanioł przyglądał się długo szmaragdowym trawom; nie uszły też jego wejrzeniu różowe stokrocie, błękitne niezapominajki, złociste jaskry... raz po raz pochyla się ku nim i szepce tajemnicze słowa... Co jednak anioł mówił z kwiatami, tego nikt nie podsłuchał. Można było jeno się domyśleć, że rzewna to była rozmowa, bo raz po raz podnosił operlone łzami oczy ku niebu.

Nagle wzrok jego zatrzymał się na wysokich wieżach klasztoru, widnego z oddali i na białych domach, okolonych wiankiem lip i topoli, migocących, w blaskach zachodzącego słońca. Potem pobłogosławił ziemię i wzbił się w obłoki...

A wszechświat cały śpiewał: „Chwalcie Maryę!“ Wieczorem, gdy przedzwoniono na „Anioł Pański“, archanioł zjawił się znowu na ziemi. Prześliznął się, jak cień pod arkadami klasztoru i poszedł wprost przed tabernakulum do Boskiego Pana i Władcy. Cisza zalegała świątynię, którą tylko przerywał cichy szept pacierza u stóp Maryi. Przy bladem świetle lampy widać było klęczącą postać młodego zakonnika. W całej jego postaci rozlana była głęboka pobożność, a na czole jaśniał hart ducha, wyrobiony walką i cierpieniem. Kto on był, co robił? Paciorki, przesuwane w palcach i oczy wzniesione ku Maryi oznajmiały czem dusza jego była zajętą w owej chwili.

Posiadał wszystko, talenta, stosunki, majątek; lecz wielkie serce jego pojęło, że szczęście tylko z Bogiem i w Bogu i dlatego zamknął się w cichych murach klasztoru. Pogrążony w modlitwie, nie widział niebieskiego posłańca, ale serce jego usłyszało tajemnicze wołanie anioła, na które z głębi serca odpowiedział „Amen“, jednak tak cicho, że tylko Niepokalana w niebie usłyszeć je mogła. Archanioł Gabryel, pobłogosławiwszy go, oddalił się. A przyspieszone uderzenia serca młodego zakonnika wołały: „Chwalcie Maryę!“.

W biednej izdebce klęczy dziewica u stóp Ukrzyżowanego i modli się i prosi za tymi, co cierpią i płaczą. Serce to pragnęło miłości czystej i wielkiej, a nieskończonej, jak wieczność: oddaje się Bogu na niebie, który tylko jeden jest wiekuistą miłością. Ale też nie chce być bezużyteczną na ziemi! Gromadzi dokoła siebie opuszczone, ubogie dzieci wioski, niosąc im światło wiary i nauki... Dotknięcie skrzydeł archanioła nie przerwało cichego rozmyślania, tylko na słowa jego, posłyszane duchem, pochyliła na znak przyzwolenia głowę, zacisnęła silniej krucyfiks w pobladłych dłoniach... I znów znak krzyża zrobił nad nią archanioł i popłynął po falach powietrza w dolinę ku białemu dworowi ukrytemu w wianku lip i topoli.

A echo, odzywające się po jego przejściu, powtarzało cicho: „Chwalcie Maryę!“.

Noc się skończyła, archanioł miał wracać do nieba. Lecz poselstwo jego nie było skończone. W białym domku, pochylona nad kolebką dziecięcia młoda matka, śledzi z trwogą uderzenia serca swego jedynego skarbu na ziemi. Ciesz się matko, bo dziecię twoje jutro posiądzie szczęście na wieki, a tobie w bolu ześle pociechę i nadzieję. Niewidzialny anioł wybrał je dla Boga; ta czysta duszyczka zbrukałaby swą śnieżną sukienkę, gdyby dłużej pozostała na ziemi...

A echo powtarzało wciąż cicho: „Chwalcie Maryę!“. Nazajutrz jutrzenka zabłysła na niebie; rozkołysane dzwony ogłaszały majowe święto Maryi. Kwiaty śpiewały kwiatom: „Chwalcie Maryę!“.

W dworku, tam w dolinie płakała matka nad kolebką dziecka; w chatce składano w trumnę zwłoki dziewczęcia, a w niedalekim klasztorze bracia zakonni odmawiali żałobne psalmy za duszę młodego kapłana. W niebie otworzyły się na oścież podwoje, wzbijała się woń róż, lilij i łąk kwietnych, a ponad nie dusze zakonnika, dziecięcia i dziewicy leciały do tronu Maryi. Tak niebo i ziemia śpiewały: „Chwalcie Maryę!“.

WYDAWCA: KS. KAROL NIKIEL. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KAROL HOLEKSA.

Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.